CAŁY ŚWIAT Z KLOCKÓW

Fot. Mieczysław Włodarski

24-06-88

Nazywam się Piotrek, bardzo lubię klocki Lego. Ale mam rodzice nie mają dolarów! Dlatego piszę ten list do „ŚM". I bardzo proszę was pokażcie w „ŚM" obrazki z klocków Lego.

Piotr Mostowski

Prośbę Piotrka spełniamy na str. 5

NA STR. 3 WSZYSTKO DLA PIŁKARZY

WTOREK Nr 88 88-07-26 Cena 25 zł

ŚWIAT MŁODYCH

HARCERSKA GAZETA NASTOLATKÓW

Wakacyjna agenda „Świata Młodych" — WIT-ek. Wakacyjny informator Turystyczny. Zbiera ciekawostki — ciekawostki przekazuje. Chcesz, aby inni zobaczyli to co ty — napisz do WIT-ka.

WIT-ek w każdym wakacyjnym numerze „Swiata Młodych".

● WIT-ku, dostałem ulotkę pt. „Najciekawsze pomniki przyrody w województwie szczecińskim". Z tej ulotki dowiedziałem się o niezwykłych, a niekiedy i bardzo śmiesznych nazwach nadawanych wielu wspaniałym i chronionym tworom przyrody.

Skałki piaskowe występujące koło miejscowości Równo (k. Myśliborza) nazwano „Czarcia Kazalnica" i „Czarcie okno". Naturalne źródełko tryskające jak mała fontanna nazwano „Boży dar". Potężny granitowy głaz sterczący z wody u brzegu Wyspy Chrząszczewskiej zwie się „Głaz królewski", a inny wyłaniający się z rzeki Drawy to „Głaz dziewicy". We wsi Karsk znajduje się „Skamieniały chciwiec".

Lipy w Międzyzdrojach to „Babki proszalne", lipa w Karsku Myśliborskim — „Brzęczadło", w Buskowie — „Ośla lipa", w Maszewie — „Ośmiu apostołów".

Dęby pomnikowe — „Dąb rozbójników" w Kurowie pod Szczecinem, „Chochoł" w Karsku Myśliborskim, „Wróżbita" i „Feudał z giermkiem" w Osowie, „Dąb latarników" w Warszowie k. Świnoujścia, „Pokutny" w Stargardzie, „Judasz" w Maszewie, „Prastary" w Wapnicy na Wolinie.

Najgrubsza wierzba we wsi Cieszyno k. Łobeza to „Maćkowa córa".

W parku w Chojnie rośnie najgrubszy platan („Olbrzym") uważany za najpotężniejszy okaz w Polsce (obwód pnia 8,6 m)... (wiadomości z listu **Marka Kolki**)

● Kolejna porcja wiadomości o rejsach białej floty. Tym razem z Wrocławia.

Siedem razy dziennie kursują po Odrze „Rusałka" i „Driada". 1,5-godzinna wycieczka na Wyspę Opatowicką kosztuje 300 zł (uczniowska zniżka — 50%).

Co 45 minut z przystani przy ul. Św. Ducha odpływa „Kaczuszka". Z jej pokładu można obejrzeć Ostrów Tumski. Rejs kosztuje 200 i 100 złotych.

● WIT-ek dowiedział się, że wrocławski Oddział PTTK prowadzi aktualnie rajd „Szlakiem Skalnych Grzybów", a zapowiada 31 lipca i 28 sierpnia wycieczki z cyklu „Zamki sudeckie". Można się zgłaszać!

● W ub. czwartek WIT-ek przedstawił pierwszy odcinek ciekawego przewodnika napisanego przez **Michała Szarego** — (*„warszawiaka z dziada pradziada, turystę, harcerza, historyka, lat 14 i pół"*) pt. „Od pomnika do pomnika". Dziś odcinek 2. — **O Syrenkach**.

„Syrenka, jak wiadomo, jest herbem Warszawy. Najsłynniejsza pomnikowa syrenka stoi nad Wisłą stworzona przed wojną (ustawiona w 1938 r.) przez rzeźbiarkę, Ludwikę Nitschową — utrwaliła na wieki twarz zabitej w pierwszym dniu Powstania Warszawskiego poetki, autorki piosenki „Hej, chłopcy, bagnet na broń", Krystyny Krahelskiej.

Prawie 100 lat starsza jest syrenka, która teraz po burzliwych kolejach losu stoi bokiem do Wisły na murach staromiejskich. Ta syrenka stworzona przez Konstantego Hegla stanęła w 1855 roku na Rynku Starego Miasta. W latach dwudziestych wyeksmitowano ją z Rynku, trafiła do klubu wioślarskiego na Solcu, podczas walk o Przyczółek Czerniakowski postradała szablę, potem była w jakiejś rupieciarni, ktoś ją odnalazł i odświeżona stanęła w Parku Kultury na Powiślu. Tu jednak przeszkadzała chuliganom, stale ją zaczepiali, obtłukiwali. Po kolejnej renowacji wróciła na Starówkę, ale i tu dopadli ją wandale. Inwalidka bez ramienia i znowu bezbronna musiała być reperowana, kolejny raz wróciła na Stare Miasto.

Być może ta ładna choć pechowa syrenka wróci na Rynek...

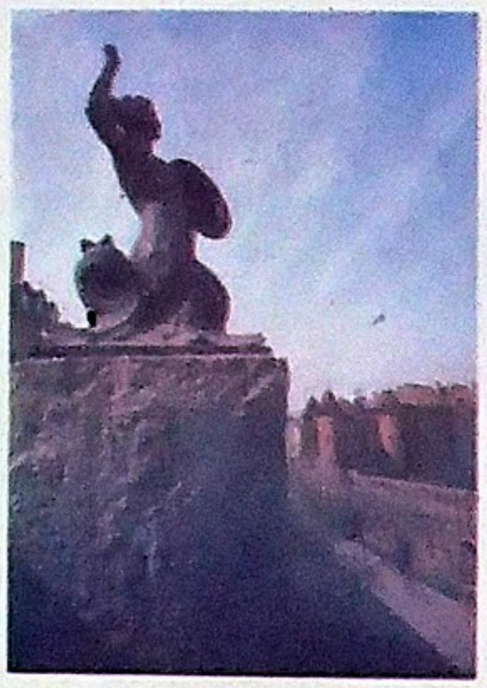

● Uwaga, dziewczyny! W Muzeum Historii Katowic wystawa jakby specjalnie dla Was — „Haft — element zdobniczy wnętrza".

CZARNY TULIPAN

(PAP). W kraju tulipanów — Holandii — jednemu z ogrodników udało się po latach intensywnej pracy wyhodować kwiat czarnego tulipana. Jest on rezultatem skrzyżowania dwóch gatunków tego kwiatu „królowej nocy" i „lasku wiedeńskiego". Próba ta nie wyszła jednak poza eksperyment laboratoryjny. Zdaniem Zachodniofryzyjskiego Instytutu Kwiatów w Enkhuizen upłynie jeszcze wiele lat, nim czarne tulipany ukażą się w powszechnej sprzedaży.

Małżeństwa ośmiolatków

(PAP). Śluby dzieci stały się od pewnego czasu częstym zjawiskiem w chińskiej prowincji Junan (południowo-zachodnie Chiny).

Jak pisze chińska gazeta prawnicza, w tym górskim regionie w wielu wioskach ponad 74 proc. zawieranych małżeństw uznano za „przedwczesne". Zdarzają się przypadki zmuszania do małżeństwa nawet 8-letnich dzieci. Dlaczego? Tego nie wiemy...

APN specjalnie dla „ŚWIATA MŁODYCH"

PREZENT OD GARRI KASPAROWA

Sportowe sukcesy szachowego mistrza świata Garri Kasparowa są wszystkim doskonale znane. Ale mało kto wie, że jest on przewodniczącym moskiewskiego klubu „Komputer", w którym 900 dzieci uczy się programowania komputerów, zakupionych przez mistrza świata z własnych funduszy.

— Nasz klub jest otwarty dla wszystkich — mówi Garri Kasparow. — Uczymy dzieci posługiwania się komputerami, ale także zaszczepiamy w nich dociekliwość, w każdym staramy się ukształtować harmonijnie rozwiniętą osobowość. Już wkrótce nawyk posługiwania się komputerem będzie sprawą tak naturalną jak umiejętność czytania i pisania. Dlatego też chcielibyśmy w naszym kraju uruchomić całą sieć placówek tego rodzaju.

Niedawno Garri Kasparow podarował kolejny komputer z kompletem gier komputerowych pacjentom z oddziału hematologii w Republikańskim Dziecięcym Szpitalu Klinicznym w Moskwie.

A. ŻEŁNOW

BIAŁY REKIN W KALIFORNII

(PAP). Westchnieniem ulgi powitali kalifornijscy hotelarze informację o złowieniu przez Anthony'ego Tibeacha 680-kilogramowego białego rekina.

Niestety, kilka dni temu rybacy poinformowali, że znów w pobliżu kalifornijskich wybrzeży pojawił się biały rekin. Być może rekin złowiony przez Tibeacha i rekin, którego widzieli rybacy to ten sam osobnik...

Wielu ichtiologów twierdzi, że tak właśnie jest, chociaż zawsze istnieje ryzyko, że rekinów było więcej. Hotelarze wierzą jednak ichtiologom. Po informacji, że Tibeach złowił rekina-ludojada otwarte zostały ponownie plaże. Jak dotąd, nadal nie ma jednak ochotników do kąpieli.

Głęboki oddech podwodnych okrętów

(PAP). Większość okrętów podwodnych może przebywać pod powierzchnią morza nie dłużej niż kilka dni. Wraz z wyczerpaniem się zapasów powietrza musi następować kres podwodnego rejsu. Specjaliści ze szwedzkiej stoczni Kockums Marine w Malmö opracowali system napędu podwodnych okrętów, dzięki któremu jednostki te będą mogły pozostawać pod powierzchnią wody o wiele dłużej.

Pierwowzór nowego układu napędowego wmontowano do maszynowni 10-letniego okrętu podwodnego o nazwie Nacken. Specjalny silnik, skonstruowany przez firmę Stirling, wyposażony został w komorę spalania, w której zachodzi tzw. proces zewnętrznego utleniania. Komora ta odizolowana jest od silnika. Tłoki napędzające generator wprawiane są w ruch w wyniku naprzemiennego ogrzewania i schładzania paliwa. Reakcje te zachodzą w warunkach podwyższonego ciśnienia, w obecności niewielkich ilości czystego tlenu. Wydzielane na zewnątrz spaliny zawierają w głównej mierze dwutlenek węgla — związek, który rozpuszcza się w wodzie.

Dzięki szwedzkiemu rozwiązaniu nowy typ silników zużywa jedynie nieznaczne ilości powietrza. Zaoszczędzony gaz może być więc wykorzystywany do klimatyzacji pomieszczeń okrętu podwodnego.

REPORTER Świata Młodych

SKĄD TWÓJ RÓD

SAGA ZNAD WISŁOKI (fragmenty)

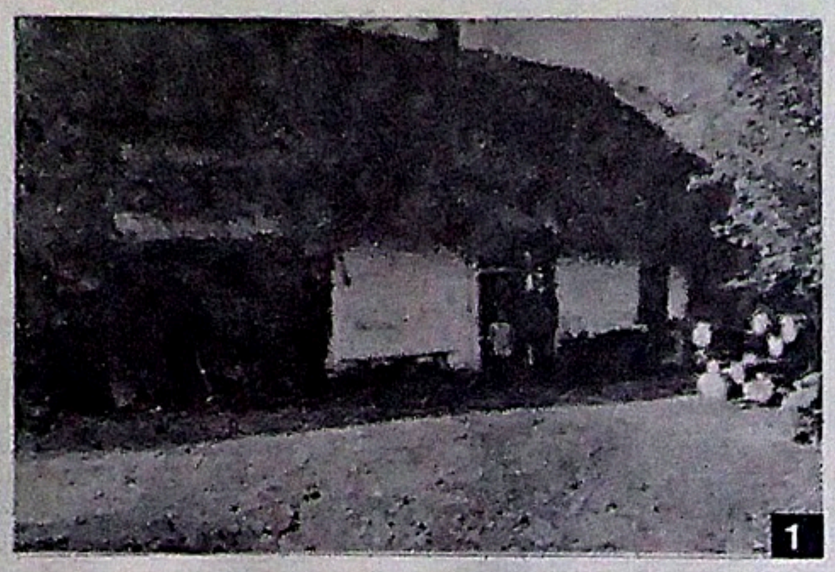

1

Są to dzieje rodu mojej mamy. Prapradziadek mój nazywał się Błażej Mazur i mieszkał we wsi Męciszów koło Dębicy w zaborze austriackim. Był najbogatszym chłopem we wsi, posiadał 80 morgów ziemi, mieszkał w ładnym, drewnianym domu, a raczej dworku. Były tam piece z pięknych kafli i posadzki z drewnianych klepek. Pięknie rzeźbiony ganeczek wspierały kolumienki. W zagrodzie panował wielki dostatek. Stodoły i gumna pękały wprost od plonów. Orano wówczas wołami, a konie były od parady — zaprzęgano je do bryczki, by pojechać do kościoła do Przecławia, albo w sprawach urzędowych do Dębicy lub Tarnowa. Zboże młócono cepami całą zimę. Chętnych do młocki, jak i do pracy w polu, było wielu, bo na wsi panowała wielka nędza. Biedak, który na przednówku otrzymał trochę zboża czy ziemniaków musiał wypłacić się pracą bogaczowi w czasie żniw.

Błażej w 1848 brał udział w wydarzeniach Wiosny Ludów. Krótki to był epizod; schwytanych powstańców Austriacy bili przed karczmą w Męciszowie. Błażej był patriotą, a jednocześnie wyrodnym ojcem dla dwojga swoich dzieci z drugiego małżeństwa — Katarzyny i Wojciecha. (Mnie najbardziej interesuje Wojciech, bo to mój pradziadek.) Jego drugą żoną była biedna wyrobnica Maryanna. (Tak właśnie pisano to imię.)

DOM MARYANNY

Żeby wyreklamować najstarszego syna z austriackiego wojska Błażej zapisał mu 63 morgi ziemi. Pozostałe 17 zapisał także dzieciom z pierwszego małżeństwa, a Katarzyna i Wojciech nie dostali od niego nic. Maryanna — moja praprababka — od dzieciństwa pracowała jako wyrobnica. We wspomnieniach ludzi została jako najpiękniejsza kobieta we wsi: wysoka, zgrabna, o czarnych włosach i prześlicznych ogromnych, niebieskich oczach. (Te piękne oczy przechodzą z pokolenia na pokolenie.) Kiedy opuszczała swoich gospodarzy, wychodząc za mąż — otrzymała za lata pracy 100 reńskich. Na malutkim skrawku ziemi, otrzymanym od męża, zbudowała dom za te pieniądze. W domu zamieszkała ona, jej dzieci: Katarzyna i Wojciech oraz Błażej, gdyż jego ukochany synuś, któremu oddał prawie cały majątek — przepędził ojca. Teraz był to już nie piękny dworek, ale skromna chata żony i dzieci, które skrzywdził. Chata Maryanny składała się z jednej izby, dwóch komór i stajni pod wspólnym dachem. Były dwa małe okienka, ogromny piec z okapem i podłoga z gliny. Nad drzwiami widniała tabliczka z nazwiskiem właścicielki: Maryanna Mazur. Nowa rodzina prapradziadka żyła w wielkiej biedzie. Rodzeństwo przyrodnie opływało w dostatki, a on już należał do biedaków Męciszowa.

Pradziadek Wojciech urodził się w roku 1863. Z opowiadań jego córek (które żyją i mieszkają z nami) jawi się jako człowiek ogromnie uczciwy. Nigdy nikogo nie zawiódł i nie oszukał. To jego oszukiwano i zwodzono. Był pracowity: zimą dorabiał młócąc cepami. Marna wtedy była zapłata za ciężką pracę.

Kryształową uczciwość pradziadka doceniali nawet Żydzi, powierzając mu na folwarku klucze od spichrzy i stodół. W czasie I wojny światowej walczył na „italiańskim froncie", czyli we Włoszech, będąc w armii austriackiej. Odłamek ranił go w twarz i rozszarpał mu wargę. Od tamtej pory dla zamaskowania brzydkiej blizny nosił wspaniałe wąsy. Zmarł w 1945 roku i z życiem za bary wzięła się wtedy jego żona — Zofia, czyli moja prababcia.

KOMORNICY I KARCZMA

Ludzie ci nie posiadali nic własnego — ani mieszkania, ani mebli. Na podstawie ustnej umowy z gospodarzem wynajmowali tzw. przybudówkę. W izbie tej oprócz pieca były również prycze — nary. Za to pomieszczenie — komórkę komornicy „odrabiali" cały rok. W poszukiwaniu kwater przenosili się z miejsca na miejsce. W Męciszowie w II połowie XIX w. żyło kilku komorników.

Była też karczma. Beczki z okowitą przywożono do niej z Pustkowa, gdzie była gorzelnia. Te beczki znajdowały się za alkierzem — i były zakopane w ziemi. Karczmę od hrabiego z Pustkowa dzierżawił Żyd. Karczmę spalili w 1914 r. Rosjanie i już jej nie odbudowano. Została tylko nazwa pola „karczmisko". Obie moje babcie chętnie tę karczmę wspominają, gdyż był w niej kącik miły dzieciom. Można było kupić: chałwę, chleb świętojański, figi, daktyle, pomarańcze itp.

„Z gniazda, gdzie kury się niosły — opowiadają babcie — podkradało się jajko albo dwa i szło do karczmy. Żyd stojący za szynkwasem nadzwyczaj uprzejmie odmierzał w zamian porcję upragnionego przysmaku, który w ukryciu zjadałyśmy".

W POSZUKIWANIU CHLEBA

Najukochańszy syn Wojciecha 18-letni Józef Mazur w 1912 roku wyjechał za chlebem do Stanów Zjednoczonych. Dużo, dużo przeżył tam biedy i upokorzeń zanim dorobił się czegoś. Na wieść, że we Francji generał Józef Haller tworzy oddziały do walki o niepodległość Polski, przybył do Francji, odbył przeszkolenie i walczył z armią Hallera. Po odzyskaniu niepodległości przez Polskę w 1918 r. Józef wrócił do USA. Otrzymał pracę w zakładach produkujących samochody, u Forda w Detroit. Jeszcze raz przyjechał do Polski w 1920 r. Wziął udział w wojnie polsko-radzieckiej, a potem wrócił do Stanów w 1921 r. i odtąd nigdy nie odwiedził Ojczyzny. W międzyczasie stracił świetną pracę u Forda. Medale i ordery otrzymali inni, a nie on — który tak kochał Polskę, że aż dwukrotnie przemierzał ocean, aby jej bronić. Zmarł w 1980 r...

Babcia Maria ciężko musiała pracować na kawałek chleba. Jako dziewczynka została oddana na służbę do swojej ciotki, ale ta ciotka była oschła i gniewna. Do obowiązków małej służącej należało pasienie krów i obrządek bydła oraz praca w gospodarstwie. Ciotka miała dużą pasiekę, ale nigdy nie dała małej służącej, a zarazem siostrzenicy, nawet słoika miodu, gdy ta szła odwiedzić dom rodzinny. Za rok służby babcia Maria dostawała zaledwie dużą, grubą chustkę „piedówkę", buty i tzw. granat na sukienkę. To była cała zapłata.

DĄB DOBROCI

Tę opowieść przekazała mojej cioci, Zofii Muniak, jej matka a moja babcia Karolina. W trójkącie między dwiema drogami, przy rodzinnym domu mojego dziadka Kazimierza Muniaka — rośnie wspaniały dąb. Posadził go mój pradziadek — Jan Muniak. Posadził go dla najbiedniejszych, najuboższych z Męciszowa, komorników, gdyż nie było dla nich nawet cienia drzew w skwarne, upalne lato. Dziadek Kazimierz Muniak był też chłopem „jak dąb". Wysoki, świetnie zbudowany. Ciocia mówi, że jej ojciec miał piękne, czyste i dobre jak u dzieci — szarozielone oczy i bardzo wyraźny głos. To był prawdziwy mężczyzna. Twardy, nieustępliwy wobec przeciwieństw życia i niezmiernie szlachetny i dobry dla ludzi. „Z naszego domu nikt nigdy nie wyszedł głodny, źle przyjęty" — wspomina ciocia.

Dziadek Kazimierz służył w ułanach. Przydzielono go daleko, bo aż do Kołomyi i Halicza. Często wspominał tamte piękne okolice, a szczególnie Huculów. W okresie służby wojskowej przywieziono oddział dziadka z Halicza do Warszawy na pogrzeb Józefa Piłsudskiego. Szli z Dworca Wschodniego do Belwederu, dziadek miał niewygodne żołnierskie buty i nabawił się bolesnych odcisków, które dokuczały mu do końca życia. Był to rok 1935. Po powrocie z wojska dziadek pracował na rzece Wisłoce przy wybieraniu żwiru.

UŚMIECH LOSU

Później los jakby zaczął się uśmiechać. Na naszych terenach zaczęły powstawać zakłady przemysłowe w ramach Centralnego Okręgu Przemysłowego. „Stomil" w Dębicy, „Zakłady Lotnicze" w Mielcu, „Stalowa Wola".

2

No i najważniejsza tu dla nas. „Lignoza" w Pustkowie. „Lignoza" zaczęła pracować dla potrzeb przemysłu zbrojeniowego bezpośrednio przed II wojną; w głębi lasu, w pobliżu stacji Kochanówka, 5 km od Męciszowa. Chętnych do pracy w zakładzie był nadmiar, bo przecież okoliczne wsie były przeludnione, panowała straszna bieda.

Wojna i okupacja były u nas tak samo straszne jak w całym kraju. A może straszniejsze! Tu był bowiem poligon doświadczalny rakiet V-1 i V-2. Po zbombardowaniu przez lotnictwo alianckie poligonu doświadczalnego rakiet V-1 i V-2 Niemcy zbudowali nowy w największej tajemnicy, strzegły go specjalne oddziały Wermachtu. Aby upozorować, że wszystko jest normalne, zbudowali w wysiedlonej Bliźnie nieprawdziwą wieś (przed domami umieszczono nawet psy z gipsu itd.) Teren wokół wyrzutni otoczono wysokim ogrodzeniem i tak pilnowano, że nawet mysz nie miała prawa się prześliznąć! A jednak przez tak pilnie strzeżony teren przenikali partyzanci z oddziału AK. Meldunki o tym, co widzieli, co słyszeli wysyłali pocztą do Warszawy. Mój dziadek Kazimierz był łącznikiem oddziału partyzanckiego AK z Korzeniowa, Przewoził meldunki.

Dziadek Kazimierz był wielkim społecznikiem. Najbardziej napracował się przy budowie nowej szkoły w Pustkowie — wsi już po wyzwoleniu. Należał do Komitetu Budowy Szkoły. Organizował zabawy, festyny, aby zdobyć pieniądze na szkołę. Ciocia wspomina, że razem z ówczesnym dyrektorem szkoły, Romanem Nikorowiczem, starali się jak tylko mogli, aby w nowej szkole była sala gimnastyczna. Gdy w planach jej nie ujęto, pojechali interweniować do Kuratorium Oświaty w Rzeszowie. Tam ich wyśmiano, jeden z urzędników stwierdził: „Dzieciom wiejskim nie potrzeba sali gimnastycznej". Podobno mój dziadek naubliżał temu urzędnikowi po tych słowach.

Byli jeszcze potem z interwencją w Ministerstwie Oświaty i Wychowania w Warszawie. Wszystko na próżno! Zbudowano ładną szkołę, jak na tamte lata (koniec lat pięćdziesiątych i początek sześćdziesiątych) — tylko, że bez sali gimnastycznej. Cała rodzina była zresztą czynnie zaangażowana w budowę szkoły. Babcia (mama mamy) gotowała obiady dla robotników pracujących przy budowie szkoły. Babcia Marysia zaprzęgała konia do wozu i wiozła obiad na teren budowy.

* * *

Moja mama — Anna , ukończyła psychologię na KUL-u w Lublinie. Pracuje w Poradni Szkolno-Zawodowej w Mielcu.

Joasia

Na zdjęciach:
1. Dom Maryanny w latach czterdziestych
2. Józef Mazur III baon 48 pułku Strzelców Kresowych

KĄCIK PRZYJACIÓŁ

● Uczę się w II klasie Liceum Medycznego. Interesuję się medycyną, ale nie lubię się uczyć. Bardzo lubię natomiast marzyć, marzyć o prawdziwym przyjacielu. Mieszkam w internacie i mam tu koleżankę, z którą się przyjaźnię, ale ona jest młodsza i jeszcze trochę dziecinna. W szkole podstawowej miałam szczerą przyjaciółkę, ale nasze drogi rozeszły się. Ona poszła do innej szkoły, ja do innej. Teraz widujemy się raz na jakiś czas i nie mamy już ze sobą takiego kontaktu jak dawniej. Interesuję się muzyką rozrywkową. Ze szczególną przyjemnością słucham zespołów Modern Talking, Pet Shop Boys, Papa Dance. Uwielbiam czytać książki. Zbieram znaczki i fotki piosenkarzy. Bardzo lubię zwierzęta. W domu mam psa i kota. Chciałabym dzięki temu listowi znaleźć przyjaciela lub przyjaciółkę, **Gabriela Kurp,**

● Mam 13 lat, od dzieciństwa noszę okulary. Interesuję się biologią i historią. Hoduję kwiaty doniczkowe, zbieram autografy i uwielbiam się śmiać. Ze względu na stan zdrowia jestem zwolniony z w-f, **Daniel Syguda,**

● Jestem czternastolatkiem interesującym się chemią i biologią. Lubię długie spacery, rozmyślanie i zachód słońca. Obracam się w kręgu wielu ciekawych ludzi, ale mimo to czuję się samotny. Oczekuję na listy od osób o podobnym usposobieniu, **Wojciech Kranicki,**

● Mamy po 13 lat i stanowimy bardzo zgraną paczkę. Bardzo lubimy reklamy telewizyjne, byleby były śmieszne. Przepadamy za słodyczami i gumą do żucia. Bardzo lubimy różne gry, szczególnie pociąga nas gra w karty i chyba mamy zadatki na hazardzistów (takich niegroźnych). Chcielibyśmy nawiązać znajomość z wieloma osobami w kraju. Oto nasze adresy: **Daniel Bogusławski, Magdalena Zambrzycka, Ewa Bogusławska,**

● Mam 11 lat, gram w szachy, interesuję się elektroniką i motoryzacją, pragnę zdobyć listownego przyjaciela, **Łukasz Bardeli,**

● Jestem piątoklasistką i szczególną moją pasją są książki. Lubię czytać książki przygodowe i podróżnicze. Poza tym lubię muzykę dyskotekową, przyrodę. Jak na swój wiek jestem trochę za dziecinna i może dlatego nie znalazłam dotąd przyjaciółki. Kto ma podobne zainteresowania i problemy niech napisze pod adresem: **Monika Romaniuk,**

REDAKCYJNA POCZTA

Ukrywam się przed chłopakiem

Nie wiem co robić, już sama sobie nie poradzę, jestem załamana. Załamana tym, że muszę się ukrywać i to jest okropne. Trwa to już ponad pół roku. A ukrywam się przed chłopakiem, którego naprawdę nienawidzę. I nikt mnie nie zmusi, abym go lubiła. Muszę się ukrywać przed nim, bo nie chcę go widzieć ani znać. Już dłużej znieść tego nie mogę, naprawdę, wierzcie mi.

Przychodził do mnie do domu; byłam, a kazałam mówić, że mnie nie ma. Przychodził po to, aby porozmawiać ze mną lub się tylko spotkać. Teraz nie mogę spokojnie wyjść do sklepu, bo boję się „nadziać" na niego. Nie wiem co mu powiedzieć, żeby mnie zostawił w spokoju. Proszę, pomóżcie mi.

Ukryta

Czy możliwa jest taka konspiracja?

Mam 16 lat i uczęszczam do Liceum Ogólnokształcącego. Po raz pierwszy piszę do „RP", a skłania mnie do tego sprawa dotycząca rodziców. Niedawno zakochałam się w chłopaku, który jest ode mnie starszy o rok i mieszka w tym samym bloku co ja. Nasza przyjaźń zaczęła się na początku maja.

Niestety, pech chciał, że nasi rodzice znają się od dawna i często przychodzą do siebie na kawę. Kiedy moja i Krzyśka (bo tak ma na imię mój chłopak) miłość wyszła na jaw, obie strony to poruszyło. Zaczęły padać głupie uwagi, aż w końcu ojciec Krzyśka stwierdził, że ja nie jestem dobrą partią dla jego syna i że nasza przyjaźń musi się zakończyć. Prawdopodobnie chodziło o przeszłość mojego ojca. Choć moi rodzice także są tej przyjaźni przeciwni. Po tych rozmowach z rodzicami przez dwa następne dni nie rozmawialiśmy ze sobą. Jednak chcemy nadal się spotykać i jak to ukrywać przed naszymi rodzicami. I czy to się uda!?

„Kociak"

Kto razem ze mną pragnie się cieszyć życiem?

Mam 15 lat i w tym roku ukończyłam szkołę podstawową. Mam młodszą siostrę. Jestem dziewczyną o przeciętnej urodzie, ale to nie ma dla mnie znaczenia. Dotąd nie pisałam do „ŚM", bo szłam przez życie w różowych okularach. Ale teraz straciłam przyjaciół i trudno mi z tym wytrzymać. Nie mogę dłużej słuchać i patrzeć, jak wszyscy na mnie plotkują i robią ze mnie pośmiewisko. A zaczęło się to od tego, że straciłam przyjaciółkę, którą uważała, że jest ode mnie lepszą uczennicą, a w ogóle to znalazła sobie inną koleżankę. To był dla mnie cios, bo była to przyjaciółka przez blisko 5 lat na dobre i na złe.

I odtąd zaczęło się. Ktoś puścił plotkę, potem ktoś mnie o coś posądził i cała klasa momentalnie odsunęła się ode mnie. Trudno jest znieść coś takiego, do końca już nie znalazłam wspólnego języka z klasą.

Mam nadzieję, że w liceum znajdę przyjaciół, którzy nie będą się obrażać za byle co. Chciałabym i wśród czytelników znaleźć przyjaciół, aby z nimi cieszyć się życiem.

„Mila"

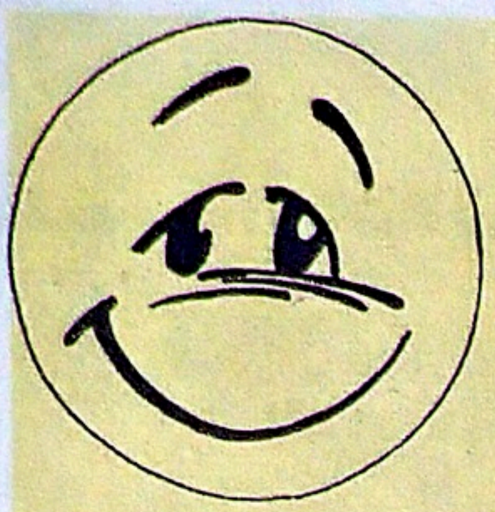

KAZIMIERZ GÓRSKI ...O FUTBOLU

Piłka nożna jest grą prostą i nieskomplikowaną. Nikt nie wymaga od grającego żadnych cudów, ale przyswojenia sobie trzech rzeczy: zasad regulaminowych, opanowania techniki i dyscypliny taktycznej. Reszty dokona solidny trening i pilna praca nad sobą. Wiadomo, że gra zespołowa, w której biorą udział dwie jedenastoosobowe drużyny, które mają dokładnie takie same, ale wzajemnie przeciwstawne cele — tj. strzelić przeciwnikowi bramkę — musi być uregulowana przepisami. Przepisy te są w zasadzie proste, lecz ich interpretacja jest tak dalece skomplikowana, jak dalece sięga pomysłowość zawodników w stwarzaniu sytuacji, mających ułatwić wbicie piłki do bramki przeciwnika. Rola przepisów ogranicza się tu do ochrony grających oraz do tego, aby obie drużyny miały takie same warunki i takie same szanse.

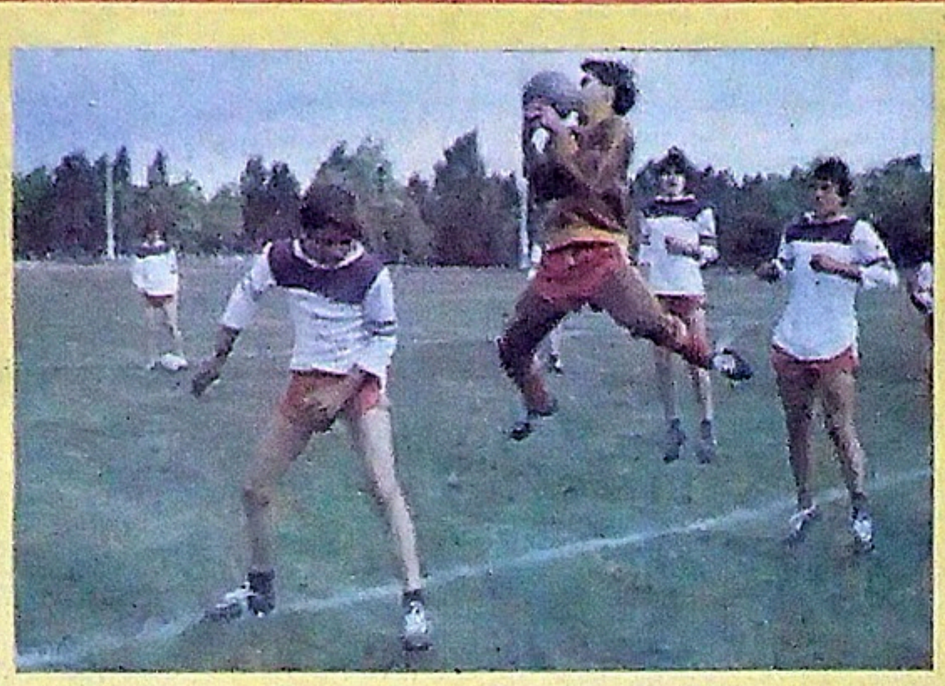

Indywidualna technika graczy jest tutaj też bardzo ważna, zarówno gdy chodzi o bezpieczeństwo graczy, jak i przyjemność gry. Jaką bowiem przyjemność z gry będzie miał zawodnik, który nie może opanować piłki i podać jej na przykład w dokładnie określonym kierunku. Nie mówiąc o tym, że jego współpartnerzy też mogą stracić humor.

No i umiejętności taktyczne. Bardzo ważny, jeżeli nie najważniejszy element gry zespołowej, wynikający z rozeznania własnych sił i możliwości oraz zamiarów przeciwnika. Ustalony plan gry trzeba realizować konsekwentnie. Wtedy każdy z zawodników może sobie „pograć" i mieć z gry zadowolenie.

Jest wielu takich zawodników, którzy grają „pod publikę", łamiąc nawet ustalone zasady taktyczne. Narzekają na kolegów, jak im coś nie wychodzi, denerwują siebie i innych. Oczywiście zawodnik powinien wykorzystywać swoje umiejętności techniczne, a nawet stosować niestandardowe zagrania, ale celowo i w odpowiednim momencie. Wtedy będzie to gra widowiskowa i pożyteczna dla drużyny.

Pozdrowienia dla Czytelników „Świata Młodych"

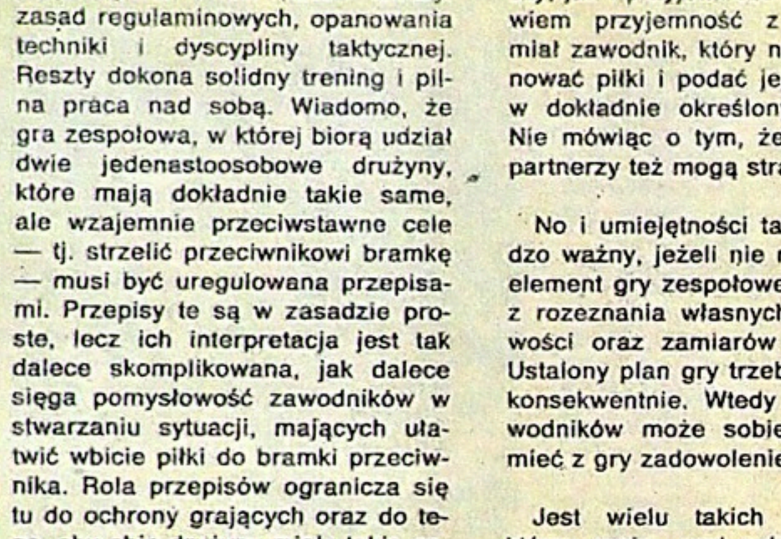

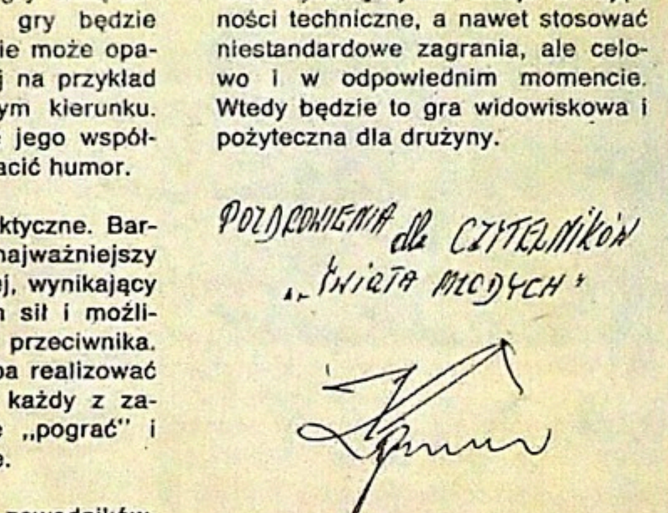

Takie ćwiczenia wchodzą do rozgrzewki każdego piłkarza. Nawet profesjonalisty! Fot. **M. Szymański**

RADZIMY PRZECZYTAĆ

- Kazimierz Górski: „Pół wieku z piłką", „Sport i Turystyka", Warszawa 1984
- Kazimierz Górski: „Z ławki trenera", „Sport i Turystyka", Warszawa 1981
- Jerzy Talaga: „ABC młodego piłkarza", „Sport i Turystyka", Warszawa 1980
- „Jak zostać mistrzem" — praca zbiorowa, Wydawnictwo Harcerskie „Horyzonty", Warszawa 1972

Wszystkie piłkarskie ćwiczenia, przepisy, gry i zabawy, które dziś proponujemy, można znaleźć w wymienionych wyżej książkach.

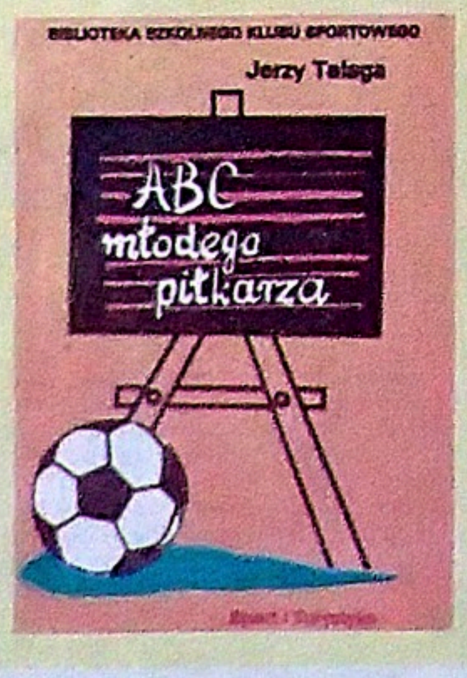

ROZGRZEWKA

Przed każdym treningiem i meczem piłkarze, tak jak wszyscy sportowcy, przeprowadzają rozgrzewkę, przygotowując się w ten sposób do zwiększonego wysiłku. Rozgrzewka ma wielkie znaczenie dla ogólnej kondycji.

Wasza rozgrzewka powinna trwać 5–10 min. i składać się z następujących ćwiczeń wykonywanych kolejno:

1. Wolny marsz około 20 m — rozluźnienie wszystkich mięśni.
2. Przyśpieszenie i szybki marsz około 50-100 m.
3. Wolny bieg na dystansie kilkuset metrów.
4. Kilkanaście ćwiczeń gimnastycznych różnego rodzaju, np. wymachy ramion, skłony tułowia, przysiady itp.

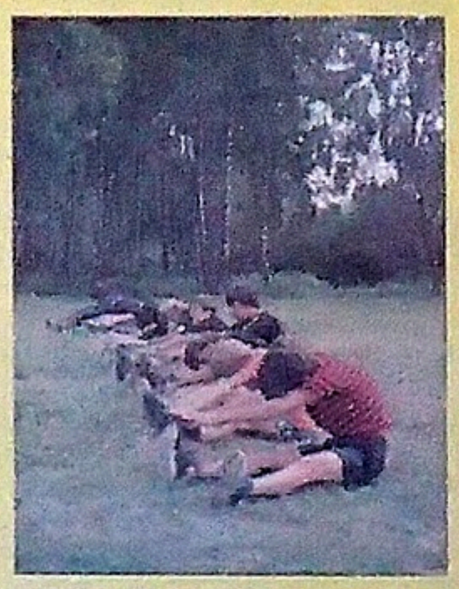

Kiedy każdy przeprowadzi rozgrzewkę, można przystąpić do podstawowego treningu, który radzimy zacząć nie od gry, lecz od podstawowych ćwiczeń z piłką.

SIATKONOGA

Boisko o wymiarach 18 × 9 kroków dzielimy nisko zawieszoną siatką (taką od siatkówki) lub po prostu — sznurkiem.

Po utworzeniu dwóch zespołów rozpoczynamy grę. Drużyna, która wylosowała prawo zagrywki, wprowadza piłkę do gry (serwuje) w ten sposób, że prawoskrzydłowy gracz tylnego szeregu skierowuje piłkę nogą ponad sznur lub siatkę. Drużyna przeciwna może przejąć piłkę każdą częścią ciała — tylko nie rękoma! — odbić trzykrotnie na swojej stronie boiska, po czym piłka musi znaleźć się znowu na stronie przeciwnej.

Drużyna zdobywa punkt, kiedy rywale dotkną piłki ręką, podbiją ją więcej niż 3 razy, skierują poza linię boiska lub pod siatkę.

Każdy zespół serwuje 3 razy, niezależnie od zdobytych lub straconych punktów.

CO TYDZIEŃ KONKURS

SLALOM PIŁKARSKI

50-metrowy odcinek; co 5 metrów chorągiewka

Ten tor trzeba pokonać slalomem, z piłką przy nodze, w najkrótszym czasie.

Wynik biegu, z podpisami co najmniej dwóch świadków, przyślij w najbliższym tygodniu do „Świata Młodych".

2 sierpnia losowanie — ten, kto wylosuje, otrzyma proporczyk PZPN z autografem Kazimierza Górskiego.

Na kartkę z wynikiem przyklej ten kupon:

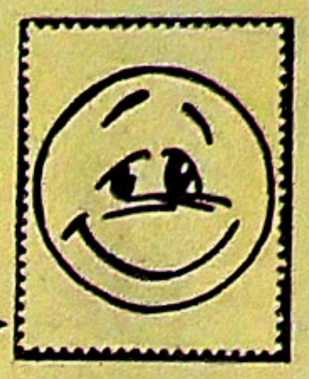

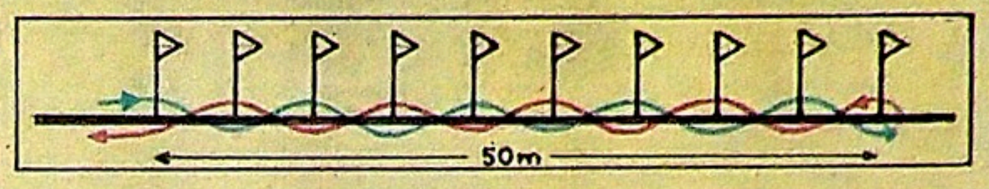

SZTAFETA

Na boisku wyznaczamy linię startu (mety) i półmetka w odległości 20-30 kroków.

Na półmetku ustawiamy dwie chorągiewki (patyki). Dzielimy się na dwa zespoły i każdy zespół ustawia się w rzędzie naprzeciwko swojej chorągiewki.

Na sygnał dwaj pierwsi zawodnicy z obu drużyn ruszają w kierunku swojej chorągiewki z piłką przy nodze, prowadząc ją wewnętrzną lub zewnętrzną stroną stopy. Po okrążeniu chorągiewki w ten sam sposób wracają na linię startu, podają piłkę następnemu zawodnikowi... Wygrywa ta drużyna, której zawodnicy prędzej pokonają z piłką wyznaczony dystans.

Uwaga! *Dla utrudnienia i urozmaicenia można przyjmować różne dodatkowe ustalenia, np. prowadzenie piłki tylko lewą nogą, wprowadzenie dodatkowych chorągiewek, aby część dystansu pokonywać slalomem...*

A więc słuchamy i śpiewamy.
Dziś, we wtorek, od 10.00 w programie IV PR uczymy się tej piosenki.

Z piosenką pogodniej

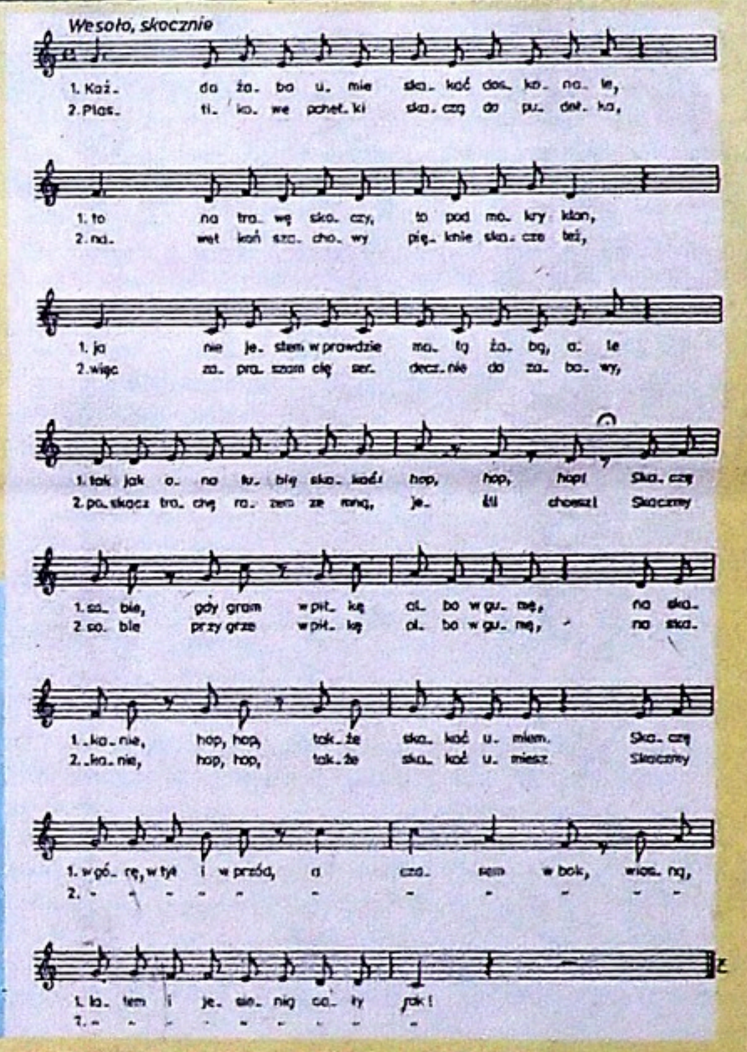

POSKACZ ZE MNĄ

Słowa: **Dorota Gellner** Muzyka: **Krystyna Kwiatkowska**

Każda żaba umie skakać doskonale
to na trawę skoczy, to pod mokry klon,
ja nie jestem wprawdzie małą żabą, ale
tak jak ona lubię skakać: hop, hop, hop!
Skaczę sobie, gdy gram w piłkę, albo w gumę,
na skakance — hop, hop — także skakać umiem,
skaczę w górę, w tył i w przód, a czasem w bok,
wiosną, latem i jesienią. Cały rok!
Plastikowe pchełki skaczą do pudełka,
nawet koń szachowy pięknie skacze też,
więc zapraszam cię serdecznie do zabawy —
poskacz trochę razem ze mną jeśli chcesz.
Skaczmy sobie przy grze w piłkę, albo w gumę,
na skakance — hop, hop — także skakać umiesz,
skaczmy w górę, w tył i w przód, a czasem w bok
wiosną, latem i jesienią. Cały rok!

PODRYWKA

Ustawcie się na obwodzie koła w odstępach 2–3 kroków jeden od drugiego. W środku pozostaje jeden gracz.

Stojący „na kole" kopią piłkę do siebie, tak aby „środkowy" nie mógł jej schwytać.

Piłkę oczywiście należy przejmować tylko nogą, głową lub tułowiem i natychmiast podawać w prawo, lewo lub do przodu.

Piłka może przechodzić tak, jak to najpierw ustalicie, a więc górą albo przy ziemi.

Jeżeli „środkowy" przechwyci piłkę, zamienia miejsce z tym, który przyczynił się do tej „straty".

Kocha, lubi, szanuje

Kiedy mama jest taka młoda — ma tylko 36 lat — i taka śliczna, i ma takie piękne długie włosy, to jasne, że chociaż ma na imię Zosia, tata mówi do niej nie inaczej jak „moja Zdeničko"

Kiedy tata jest taki młody — o kilka dni nawet młodszy od mamy — i taki wysoki, i gra w kosza, to mama patrząc na niego może się tylko uśmiechać. Nie mogła też nie nazwać syna imieniem Józef, takim samym jakie nosi tata. Ten zwyczaj zresztą w wielu czeskich rodzinach przetrwał po dziś dzień.

Marketa jest starszą siostrą jedenastoletniego Józefa. Wraz z całą rodziną mieszka w Czechach, w malutkim miasteczku Krivoklat, u podnóża starego myśliwskiego zamku, który już na początku XII wieku z drewnianego stał się kamiennym. Marketa, która przeżyła na tym świecie czternaście lat, nie tylko zdążyła doskonale poznać i serdecznie polubić swoją rodzinę, ale zapragnęła nam o niej opowiedzieć.

— Mama jest nauczycielką i ponieważ uczy klasy I–IV, musi umieć wszystko: matematykę i język czeski, i śpiewać, i malować. Mama ma więc stale do czynienia z małymi ludźmi — natomiast tata — jako urzędnik w biurze fabryki — głównie z papie ami. A ja marzę o tym, by zostać farmaceutką. Jestem już po egzaminie do szkoły średniej.

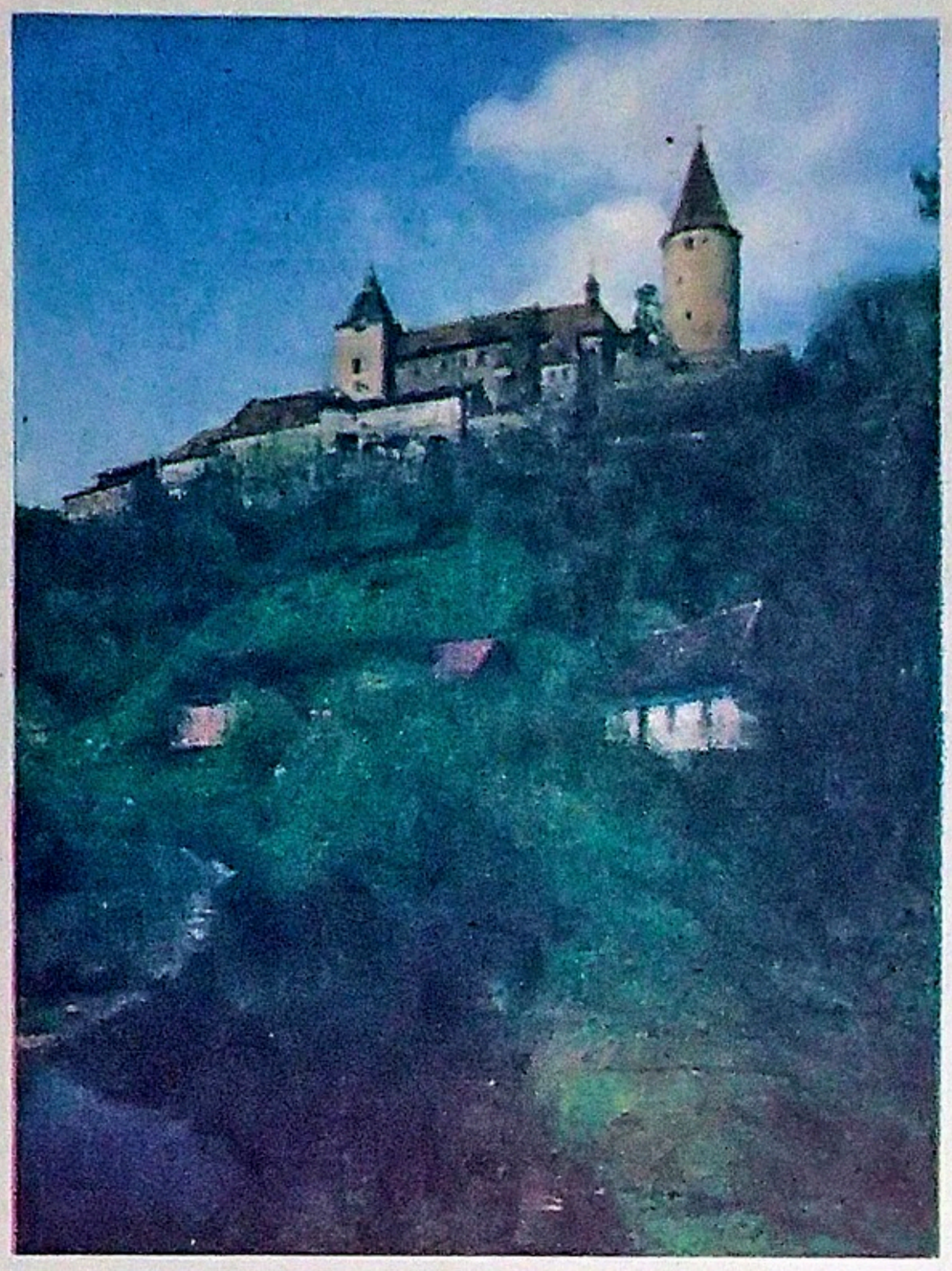

U PODNÓŻA ZAMKU

Godziny i... napełnianie żołądków

— *Pierwsza, o 5.30 wstaje mama.* Szykuje dla wszystkich śniadanie. O 6.00 wstaje tata. Wychodzi do pracy o 6.30 i wtedy właśnie wstajemy my z bratem. Wychodzimy do szkoły o 7.00. Mama zamyka drzwi domu o 7.15. Jako ostatnia.

Obiady, tak jak wszyscy nasi koledzy, jemy w szkole. Rodzice — w pracy. W domu spotykamy się przy obiedzie jedynie w soboty i niedziele.

Lekcje kończą się za piętnaście trzecia. Po drodze ze szkoły do domu wiosną i latem kupuję sobie lody, a jesienią i zimą czekoladę albo gumę do żucia. W domu czeka już mama. I oczywiście podwieczorek: chleb z kiełbasą, z serem, budyń albo kakao.

Jest i tata. Przebieram się w domowe ciuchy. I całą rodziną idziemy do chaty.

Chata

jest drewniana. Stoi sobie nad rzeką, w której cała rodzina bardzo lubi się kąpać. Przy chacie jest ogród. A w ogrodzie: papryka, truskawki, wszystkie w ogóle owoce i jeszcze inna zielenina. I znów cała rodzina bez wyjątku lubi uprawiać tę swoją ziemię. Chociaż chata jest odległa od bloku, w którym mieszkają o... kilkaset metrów, nieraz tak jest im w niej dobrze, że tu nocują.

Czasem po południu Marketa chodzi na spacery z koleżankami. Ale najbardziej lubi wyprawy z tatą — myśliwym do lasu. Są wtedy tylko we dwoje. Tropią zwierzęta. A potem siedzą cichuteńko, żeby nie spłoszyć podchodzących coraz bliżej saren i jeleni. A zimą noszą im siano.

We czwórkę

zaś jeżdżą na samochodowe wycieczki podczas weekendów. Albo po prostu do lasu — a lasy są wszędzie wokół — albo do babci do Pilzna. W ostatnią sobotę byli na przykład w Karlštejnie.

W zimie też nie ma mowy o nudzie: piesze wycieczki po przepięknych okolicach, walki na śnieżne kule, wieczorne wspólne rodzinne czytanie (ich prywatny księgozbiór naprawdę może zaimponować), no i oczywiście telewizja. Na razie telewizor jest czarno-biały, ale dziadek obiecuje, że na następne Boże Narodzenie zdobędzie kolorowy. Nawet jednak i bez koloru oglądane zawsze wspólnie dobranocki, bajki i komedie, szczególnie włoskie, mają swój urok. Podobnie jak i słuchanie wraz z rodzicami nowoczesnej muzyki.

— No i jeszcze tak tata, jak i mama lubią grać z nami w karty albo w różne gry planszowe. A raz w tygodni dziemy wszyscy do kina.

Takie to wszystko ładne

i zgodne, że... aż się nie chce wierzyć, że prawdziwe.

— Nie chcę ich przechwalić — zastrzega się Marketa. — Pewnie, że rodzice czasem się kłócą. Na przykład kiedy tata koniecznie chce oglądać mecz, a my co innego. A znów brat przeszkadza mi, kiedy włóczy się za mną i w szkole, i po szkole, więc nieraz każę mu się odczepić. Ale w domu się nie kłócimy. Nie ma na to czasu i nie ma o co. Zmywanie naczyń i wyrzucanie śmieci na przykład mamy z bratem podzielone między siebie „na zmiany". A podczas copiątkowych sprzątań wszyscy równo bierzemy się za robotę. No, może tata czasem od tego ucieknie. Ale od „supersprzątań", takich raz na jakiś czas, z soboty na niedzielę, już się nie wymiguje. Mama je organizuje, a my jej pomagamy i jak trusie wypełniamy wszystkie polecenia.

Są rodziną szczęśliwą, bo „maminka" z „tatinkiem" bardzo się kochają.

— Mój

przepis na szczęście

w domu to po prostu miłość — stwierdza spokojnie Marketa. — Ojciec kocha w mamie nie tylko jej piękno, ale i dobre usposobienie: delikatność i pogodę. Usposobienie taty nie jest aż tak idealne, ale jego serdeczny stosunek do nas wszystkich wynagradza nawet jego upartość.

Na ogół nie przychodzą do nich goście, no, może raz w miesiącu wpadnie

tylko do mamy na kawę jakaś koleżanka. W ich domu, tak jak podobno i w innych domach czeskich miast i miasteczek, nie ma tradycji częstych wizyt towarzyskich. Ku naszemu zdziwieniu ani Markecie, ani jej rodzicom zupełnie to jednak nie przeszkadza: wystarczają sobie we czwórkę. Z kolegami i koleżankami zaś lepiej jeszcze spotykać się i bawić „na dworze" niż w domu.

Podobno w Křivoklacie jest wiele podobnych szczęśliwych rodzin. Podobno i w miasteczku, i w okolicy małżeństwa rozpadają się bardzo rzadko. Ot, choćby w klasie Markety na 30 uczniów tylko jeden miał rozwiedzionych rodziców. Zupełnie inaczej niż, na przykład, w Pradze. Może to dlatego, że Urząd Stanu Cywilnego, w którym zawiera się małżeństwa, znajduje się na zamku. Tym, co to góruje nad wszystkimi okolicznymi miejscowościami od prawie dziewięciuset lat. Co gościł w swoich starych murach niejednego czeskiego króla, księcia i możnowładcę. Nie wypada więc może nie wytrwać w zawartym tu związku małżeńskim zaledwie kilku dziesięcioleci.

EWA KOSIŃSKA
Fot. **autorki**

KLUB WIDEO i „Wesołe podwórka" w Sokółce

— Wiadomo, jak to bywa w małym miasteczku: albo obcego przyjmą, albo nie — mówi **Elżbieta Ceglarska** dyrektorka Sokólskiego Ośrodka Kultury — **Zostałam zaakceptowana i teraz, po dziesięciu latach, czuję się jak rodowita sokólczanka, chociaż przedtem długo pracowałam w Gołdapi, a w ogóle pochodzę z Warszawskiego.**

Sokółka jest 18-tysięcznym miastem w woj. białostockim, znanym między innymi z tego, że król Jan III Sobieski osadził tu Tatarów i po dziś dzień we wsiach Krynki, Bohoniki, Drahle, Malawicze od XVII wieku mieszkają rodziny tatarskie.

Ośrodek Kultury — oczko w głowie pani Ceglarskiej — znajduje się w samym centrum miasta, w budynku dawnej siedziby władz powiatowych. Przechodniom więc trudno nie zauważyć, co ośrodek proponuje, na jakie atrakcje zaprasza. Funkcjonują w nim aż 24 kluby kierowane przez instruktorów różnych specjalności; w zajęciach stale uczestniczy ponad osiemset dorosłych i najmłodszych obywateli Sokółki. Interesujący się komputerami, muzyką, modelarstwem, teatrem czy fotografowaniem znajdą tu coś dla siebie.

— **Jest to miasto ludzi kształcących się** — podkreśla dyrektorka ośrodka — **toteż dużym wzięciem cieszą się również prowadzone przez nas lektoraty języków obcych. Poza tym staramy się przyciągać czymś, czego jeszcze nie ma w domach, a w każdym razie, co jest jeszcze rzadkością. Zorganizowaliśmy Klub Wideo, najmłodsi mogą oglądać piękne bajki. Pieniądze na kupno magnetowidu zdobyliśmy sami. W naszym budynku znajduje się kawiarnia „Lira". Wpadłam na pomysł, by udostępniać ją na uroczystości weselne. Wynajmującym stawiamy pewne warunki: przyjęcia muszą odbywać się kulturalnie, bądź co bądź dzieje się to w naszym sąsiedztwie. Wszystko jest w jak największym porządku! Za wynajęcie sali ośrodek otrzymuje pieniądze. W „Lirze" odbywały się już różne wesela, także tatarskie.**

Ośrodek kultury często odwiedzają turyści interesujący się historią polskich Tatarów, bowiem mieści się w nim niewielkie, ale ciekawe muzeum poświęcone ich obyczajom i tradycjom.

nstruktorzy zdają sobie sprawę, że podczas wakacji, gdy jest piękna pogoda, nie należy zasklepiać się w murach budynku, starają się więc dostarczyć młodzieży atrakcyjnych zajęć na świeżym powietrzu. Każdego lata odbywają się zabawy i konkursy pod hasłem „Wesołe podwórka". Wiele pomysłów wnosi p. **Adam Gawroński**, instruktor „od teatru". Opracował spektakl pod tytułem „Z biegiem Narwi". Oprócz wspólnej, żywiołowej jak nurt rzeki, zabawy-przedstawienia jest w nim spora porcja wiedzy o zagrożeniu przyrody, o niebezpieczeństwie, na jakie narażona jest do niedawna czysta i piękna rzeka Narew. Młodzi aktorzy odgrywają rolę „śmieci" zanieczyszczających otoczenie, „ścieków", które do Narwi wpadają, są bosmanami itp. Biorą też udział w turnieju rycerskim, gdy bieg Narwi zbliża się do Tykocina, byłej królewskiej rezydencji z XVI wieku.

Instruktorka plastyki p. **Ewa Petelczyc** organizuje natomiast zajęcia dla dzieci przebywających na leczeniu w sokólskim szpitalu, by nieco szybciej i weselej mijał im tam czas.

Pani Elżbieta Ceglarska cieszy się, że ośrodek, którym kieruje, wprowadza nowoczesne formy pracy, jest potrzebny miastu. Nie rezygnuje też z tradycyjnie, już po raz piąty z kolei, organizowanych wspólnie z Wojewódzkim Ośrodkiem Kultury w Białymstoku spotkań muzykujących rodzin. Powiedziała:

— **Podczas ostatniego spotkania w Sokólce uczestniczyło 16 muzykujących rodzin, najliczniej reprezentowane były rodziny z okolic miasta, ale przyjechała i rodzina z Łap, i innych miejscowości z naszego województwa.**

A. GRZYBOWIECKA

Na zdjęciach:

1. Zajęcia w klubie modelarskim

2. Weselej w szpitalu jest wtedy, kiedy p. Ewa Petelczyc, instruktorka plastyki, znajdzie się wśród pacjentów

3. „Z biegiem Narwi" — przedstawienie, w którym aktorzy odgrywali wydarzenia, jakich świadkiem w ciągu wieków była rzeka. Na zdjęciu — turniej rycerski, którym „dyryguje" instruktor Adam Gawroński (w okularach)

4. Dyrektorka Sokólskiego Ośrodka Kultury Elżbieta Ceglarska podczas odznaczania jej znakiem „Rodła" za wcześniejszą pracę na dawnych polskich ziemiach w Gołdapi

5. „Wesołe Podwórka" mają już swoją tradycję w Sokólce

Tegoroczny Międzynarodowy Dzień Dziecka fetowali głównie ci handlowcy, którzy od swoich klientów przyjmują wyłącznie waluty wymienialne. BALTONA oferowała okolicznościowe upominki dla tych, którzy dokonywali zakupów powyżej 8 dolarów, natomiast PEWEX zorganizował w warszawskim Pałacu Kultury i Nauki wystawę klocków LEGO.

CAŁY ŚWIAT Z KLOCKÓW

Klockami bawiono się już u zarania naszej cywilizacji i nic nie wskazuje na zmierzch tej rozrywki. Jednakże wśród tysięcy wytwórców z całego świata koncern LEGO ma pozycję szczególną. To prawdziwy klockowy monarcha, niepodzielnie panujący na tym specyficznym rynku. A wszystko zaczęło się na początku lat trzydziestych naszego wieku, w Danii, kiedy to pewien stolarz z małej jutlandzkiej wioski Billund znalazł się bez pracy. Wszechobecny kryzys spowodował, iż Ole Kirk Christiansen nie mógł sprzedać ani jednego stołu, ławy czy krzesła, które zbijał i hebłował w swoim warsztacie. Aby ratować się przed nędzą, przed zupełnym bezrobociem, Ole Christiansen zaczął robić drewniane zabawki.

Trudno powiedzieć, żeby interes od początku prosperował znakomicie, ale pozwalał jakoś wiązać koniec z końcem. W 1934 roku niewielki zakładzik zatrudniał 7 pracowników. Gdyby panu Christiansenowi powiedzieć, że jego wnuk pięćdziesiąt lat później dawać będzie pracę blisko sześciu tysiącom ludzi — nie uwierzyłby.

Już na początku istnienia firmy pojawił się problem jednolitej nazwy, pod którą miały być sprzedawane wszystkie wytwarzane w Billund zabawki. Po pewnym namyśle zdecydowano się właśnie na LEGO — od słów „leg godt", co po duńsku znaczy „baw się dobrze". Ani Ole Christiansen, ani nikt z jego współpracowników nie znał łaciny, nie mogli więc wiedzieć, iż w języku starożytnych Rzymian „lego" znaczy „składam". Był to więc swoistego rodzaju dobry omen, gdyż idea składania zabawek z powtarzalnych elementów stała się źródłem pomysłu, na który wpadł w 1955 roku Godtfred Kirk Christiansen, syn założyciela zakładu.

Przez kilka lat eksperymentował z kształtem wymyślonych przez siebie klocków z tworzywa sztucznego, aż w 1958 roku opatentował wynalazek. Podstawowym jego elementem był pojedynczy klocek — prostopadłościan o wymiarach 9,6 x 32 x 16 milimetrów, o ośmiu słupkach — złączach. Dwa takie klocki można połączyć na 24 różne sposoby, trzy — dają już 1060 różnych kombinacji, a sześć pozwala na gigantyczną liczbę 102 981 500 połączeń. I to właśnie jest chyba najistotniejszą tajemnicą sukcesu LEGO: olbrzymia różnorodność budowli i innych konstrukcji, które tworzyć można z elementów produkowanych w Billund.

Od 1958 roku rozpoczyna się żywiołowy rozwój firmy. Powstają coraz to nowe zestawy. Zakładowi konstruktorzy prześcigają się w wymyślaniu coraz to nowszych mutacji klocków, figur ludzi i zwierząt, elementów napędowych, sygnałów świetlnych, dźwiękowych itp. Zawsze jednak obowiązuje jedna podstawowa zasada: każdy nowy klocek pasuje do wszystkich innych. W 1966 roku do klockowych zestawów włączony zostaje silnik elektryczny i kolejka szynowa. W 1971 r. — przekładnie zębate. Rok 1973 to wprowadzenie na rynek klocków, z których zbudować można modele pływające. Rok 1979 — ukazuje się LEGO-Kosmos... To tylko niektóre z milowych kamieni w rozwoju firmy. Najnowszym hitem LEGO są systemy pneumatyczne działające zupełnie jak prawdziwe. Pozwalają na konstruowanie np. podnośników widłowych, przeróżnych żurawi itp.

Obecnie LEGO jest wielką korporacją przemysłową o zasięgu światowym. Jej centrum mieści się ciągle w miejscowości Billund, w Danii. Wytwarzane tu klocki w 97 procentach są eksportowane. Docierają do 115 państw na całej kuli ziemskiej, w tym także do Polski. Jest tylko jedna filia zagraniczna, ulokowana w Enfield, w USA. Produkuje wyłącznie na rynek amerykański.

Klocki LEGO, ich popularność, to przede wszystkim efekt znakomitego pomysłu. Nie na wiele on by się jednak zdał, gdyby nie jakość wyrobu, jakość o poziomie wręcz kosmicznym. Każdy klocek wytwarzany jest z dokładnością do pięciu tysięcznych milimetra. Surowcem jest — od 1963 roku — tworzywo sztuczne ABS, nie tłukące się, niepalne i nietoksyczne, a więc całkowicie bezpieczne nawet dla najmłodszych. Różne państwa mają różnorakie, choć najczęściej surowe, wymagania wobec zabawek dla dzieci. Przede wszystkim chodzi o to, by były nieszkodliwe. Większość eksporterów na tym specyficznym rynku przystosowuje swoje wyroby do wymagań określonego odbiorcy. Firma LEGO, jako jedyna, zdecydowała się na takie zorganizowanie produkcji, aby uwzględnić wszystkie wymogi we wszystkich krajach.

Wystawa w Pałacu Kultury i Nauki miała charakter kiermaszu. Rodzice dysponujący mocną walutą, albo chociażby bonami Pekao, mogli dokonać zakupów; młodsi miłośnicy klockowych układanek korzystali z zestawów hojnie oddanych do ich dyspozycji i tworzyli własne konstrukcje; jedni i drudzy zaś z zainteresowaniem oglądali prezentowane eksponaty. Były one widomym dowodem na to, że z klocków LEGO zbudować można wszystko... a nawet jeszcze więcej. Były więc — funkcjonujące bez zarzutu — modele maszyn i pojazdów, były szachy, ruchomy kołowrotek, kamera fotograficzna, a nawet gitara elektryczna ze wzmacniaczem. Wszystko z klocków i wszystko „na chodzie". Ukłonem w stronę stolicy był model Zamku Królewskiego. Na jego wybudowanie zużyto kilkaset tysięcy pojedynczych elementów.

Jest taki slogan, mówiący iż dobra zabawka nie tylko bawi, lecz także uczy i wychowuje. W przypadku LEGO nie jest to jedynie chwyt reklamowy. Specjalnie opracowane obrazkowe instrukcje pozwalają zbudować model maszyny parowej, silnika spalinowego czy elektrycznego, a nawet żarówkę, która naprawdę świeci. Wszystkie te modele mają takie rozmiary, iż pozwalają dokładnie zapoznać się z wnętrzem i działaniem tych i innych skomplikowanych urządzeń. Konstruktorzy klocków LEGO bardzo konsekwentnie dbają, aby ich zabawki nie uczyły bawienia się w wojnę. Dorośli to przecież tylko dzieci, które podrosły, a przyzwyczajenie do takich zabaw miewa złowieszcze skutki. Dlatego też w galerii postaci LEGO nie ma ani jednego żołnierza, instrukcje klockowych zestawów nie przewidują budowy czołgów ani armat, nawet figurki policjantów wyposażone są jedynie w radiostację, nie mają zaś broni palnej.

Klocki LEGO, choć — jak już wspomniałem — eksportowane są również do naszego kraju, mogą cieszyć tylko wybranych. A szkoda. Uczą one bowiem nie tylko podstaw fizyki czy mechaniki, lecz także solidności, jakości i rzetelności we wszelkim działaniu. Nawet w tak — zdawać by się mogło — niepoważnym, jak wytwarzanie zabawek.

MICHAŁ MALICKI

Fot. **archiwum i M. Włodarski**

▲ *W zestawach jest też napęd elektryczny (a) i mechaniczny (b)*

◀ *Podziw na wystawie budził płetwonurek w kompletnym skafandrze*

Milej byłoby być romantyczką...

Z BOŻENĄ DYKIEL rozmawia Iwona Starzyńska

1

— O wyborze zawodu decyduje czasami przypadek... Ktoś pomylił drzwi i zdał na inny wydział, niż zamierzał. Kogoś na egzamin siłą wypchnęli znajomi. Ktoś kibicując koleżance w jej walce o indeks zaryzykował i sam stanął przed komisją... Jak to było z Panią?

— Mnie nikt nie wypychał, ani nie pomyliłam drzwi. Po maturze zdecydowałam, że będę zdawać do warszawskiej Państwowej Wyższej Szkoły Teatralnej. Egzaminy wstępne w uczelniach artystycznych są zawsze wcześniej. Jeśli mi się nie powiedzie — myślałam — mogę próbować sił gdzie indziej. Ale nie było takiej potrzeby — na Wydział Aktorski dostałam się „za pierwszym podejściem".

— Szkołę Teatralną ukończyła Pani w 1971 roku. A potem, grając Goplanę w słynnej inscenizacji „Balladyny", wjechała Pani „Hondą" na scenę Teatru Narodowego...

— „Balladyna" wyreżyserowana przez Adama Hanuszkiewicza miała premierę w 1974 roku. Mój debiut odbył się jednak wcześniej, przed kamerą filmową. Andrzej Wajda powierzył mi rolę Kaśki w nakręcanym właśnie „Weselu". Byłam wówczas jedną z najmłodszych aktorek w ekipie. Jeszcze niedoświadczona, trochę zagubiona i stremowana obecnością doskonałych aktorów o wielkich nazwiskach — bardzo przeżywałam to swoje wejście w życie zawodowe. Życzliwą opieką otoczył mnie wtedy Andrzej Wajda. Poświęcał mi dużo czasu, bym „odblokowała się" i na planie poczuła swobodniej. Był wspaniałym nauczycielem, cierpliwie udzielającym wskazówek. Jemu w największej mierze zawdzięczam opanowanie tajników podstaw aktorskiej sztuki filmowej.

— W 1975 roku, podczas jednego z wywiadów zwierzyła się Pani dziennikarzowi: *Kiedy dostanę ciekawą rolę, jestem zawsze przerażona, bo wydaje mi się, że nie dam sobie rady".* Czy takie obawy przeżywa Pani i dziś?

— Będąc młodą aktorką słyszałam od starszych kolegów po fachu opinię, że zawodowe ostrogi zdobywa się mniej więcej po dziesięciu latach grania. Teorię tę wypróbowałam na własnej skórze i mogę potwierdzić jej prawdziwość. Rzeczywiście, aktorowi potrzeba paru ładnych lat, by poczuł się pewniej w swoim zawodzie. Ja do tej pory mam tremę, gdy zaczynam nową, większą pracę... Ale myślę, że podchodzę teraz z innym nastawieniem do tego, co robię: nie boję się już filmu, nie boję się sceny. Trema to jednak nie to samo co strach... Stosunkowo najmniej pewnie czuję się jeszcze na estradzie, która rządzi się swoimi prawami. Ale wtedy „wspiera" mnie moja popularność zdobyta w filmie i teatrze. Kiedy stoję na estradzie, czuję życzliwość widzów. Oni, pamiętając grane przeze mnie role — z góry obdarowują mnie swoją przychylnością. To jest bardzo miłe i ogromnie pomocne!

— Na ekranach telewizyjnych oglądamy ostatnio powtórkę serialu „Dom" Jana Łomnickiego. Gra tam Pani Halinę — kobietę

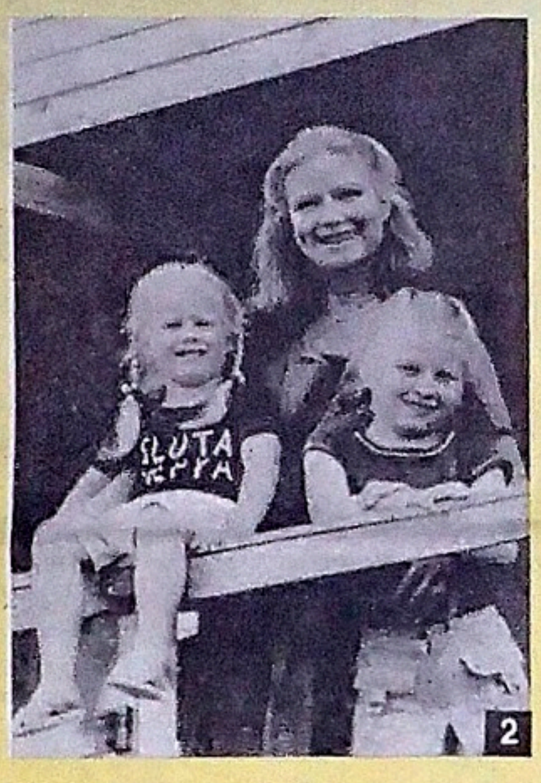

2

energiczną, zaradną, taką co poradzi sobie w każdej sytuacji. Podobnymi cechami odznaczała się pani naczelnik z „Wyjścia awaryjnego" Romana Załuskiego. Taka też była kuchta w „Filipie z konopi" Józefa Gębskiego. Czy te filmowe bohaterki przypominają trochę Bożenę Dykiel prywatnie?

— Chyba tak... Myślę, że dla aktora stworzenie postaci podobnej do niego samego jest zadaniem trudniejszym niż zagranie roli kogoś zupełnie odmiennego. A w każdym razie jest zadaniem bardziej ryzykownym. Tworząc taką postać aktor „odkrywa się". Gra siebie i niejednokrotnie przed widzami ujawnia takie cechy swojej osobowości, które normalnie znają tylko najbliżsi, rodzina, domownicy...

Ale wracając do pytania. Wydaje mi się, że jestem samodzielna, energiczna, że potrafię pokierować swoim losem. Kiedy trzeba — zarządzę, poprzestawiam, zadecyduję. Staram się jakoś dawać sobie radę... Sądzę jednak, że pod tym względem większość kobiet jest podobna do moich bohaterek. Zaradność to konieczność życiowa, to po prostu wymóg czasu...

W cichości ducha panie może i marzą, by być delikatnymi, bezbronnymi istotami, wspierającymi się na silnym, męskim ramieniu. Pewnie wolałybyśmy być słodkimi kobietkami rozsyłającymi z czułością spojrzenia i uśmiechy. Miłej byłoby być romantyczką... No, ale marzenia to jedno, a życie — zupełnie coś innego.

— A jednak nie pozbawiła Pani swoich bohaterek tej szczypty kobiecego romantyzmu. Halina — baba-generał, która, zachowując się jak prawdziwy mężczyzna, bez ceregieli unicestwiła prostaka, i w ogóle siała wokół postrach — w pewnych sytuacjach stawała się miękka jak wosk. Wtedy, gdy chodziło o uczucie, nie potrafiła być już generałem.

— Jak to kobieta...

— Niedawno rozpoczęła się emisja drugiej części „ Domu". Czy może Pani uchylić rąbka tajemnicy: co będzie dalej?

— Nie chcę psuć widzom przyjemności oglądania serialu. Powiem więc tylko, że pani Halina nadal mieszkać będzie na Złotej, a mundur żołnierski zamieni na mundur celniczki.

A swoją drogą — szkoda, że nie ma już takich kamienic, gdzie wszyscy lokatorzy żyli jak rodzina. Szkoda panów Popiołków, co byli dobrymi duchami domu. Tych, którzy pomogli wbić gwóźdź, zataszczyć meble, wytrzepać dywan...

— To jest chyba tęsknota wielu mieszkańców współczesnych „mrówkowców"... Wróćmy jednak do rzeczywistości i ze Złotej przenieśmy się na ulicę Alternatywy 4. Do tego wieżowca, gdzie na parterze mieszka gospodarz domu i jego żona — czyli państwo Aniołowie. Czy to prawda, że Miećki miało w filmie w ogóle nie być?

— Rzeczywiście. Początkowo w scenariuszu Anioł był mężczyzną stanu wolnego. Potem zdecydowano, że żonę mieć musi. Ja w serialu „Alternatywy 4" miałam grać jedną z lokatorek: ale gdy wymyślono postać Aniołowej, przyjęłam propozycję reżysera — Stanisława Barei — i stałam się filmową małżonką Romana Wilhelmiego. A kiedy zastanawialiśmy się, jakie imię nadać pani gospodarzowej, powiedziałam, że w domu mój mąż, gdy chce mi dokuczyć, mówi do mnie — Miećka. Imię przypadło wszystkim do gustu i tak zostało.

— Czy lubi pani seriale?

— Tak. Choć serial niesie za sobą potencjalne niebezpieczeństwo „zaetykietkowania". Grozi ono zwłaszcza odtwórcom głównych, charakterystycznych ról. Bywa, że aktor jeszcze długo po serialu kojarzony jest tylko z daną postacią, określonym typem bohatera. Poza tym praca nad filmem seryjnym wymaga dużej odporności psychicznej: trwa dłużej niż realizacja filmu fabularnego, sceny nie są kręcone chronologicznie. Zdarza się, że jednego dnia pracujemy nad ujęciami z pierwszego odcinka, a nazajutrz robimy zdjęcia kończące film. Cała ekipa musi być wciąż skoncentrowana, pracować „na pełnych obrotach". To jest trudne i męczące. Ale ciekawy i dobrze napisany serial (a za taki uważam np. „Dom") daje wszystkim dużo satysfakcji.

— Wakacje w pełni. Czas odpocząć po całorocznych trudach. Czy ma Pani swój sposób na lato?

— Oczywiście! Urlop razem z mężem i córkami na wsi. Przytulny domek, dużo drzew, rzeczka, bociany w gnieździe — to najwspanialsza sceneria do wypoczynku. Naprawdę, nie tęsknię za złotymi plażami południa, nie marzy mi się Grecja ani żadne obce kraje. Dla mnie wiejskie wakacje nie mają sobie równych!

— Serdecznie dziękujemy Pani za rozmowę i życzymy wspaniałego urlopu!

Kolejna zagadka LAG-u: Jaki stopień wojskowy miała pani Halina z serialu „Dom"?

Na zdjęciach:
1. Bożena Dykiel służbowo — z Jerzym Michotkiem w „Wyjściu awaryjnym"...
2. ...i prywatnie — z córkami: Zosią i Marysią

Fot. CAF i archiwum

GWIAZDOZBIÓR LAG – 4

KAPE-LUSZE I INNE... RONDKA

DOM MODY świata młodych

Tydzień temu pisałam o... ochronie przeciwsłonecznej na plaży (kto nie czytał, powtarzam — nie „smażymy" się na słońcu! To nie tylko niemodne, ale i bardzo niezdrowe, lekarze całego świata ostrzegają przed słońcem coraz głośniej), dziś będzie o tym, co dzieje się po plaży...

W słoneczny mianowicie dzień jesteśmy zawsze, gdy opuszczamy pomieszczenie zamknięte, wystawieni na działanie promieni słonecznych. Najbardziej, gdy jesteśmy ubrane, narażona jest na słońce twarz. Zabezpieczamy ją koniecznie! specjalnymi kremami lub innymi emulsjami ochronnymi, ale i tak słońce do niej dociera, nie mówiąc już o tym, że razi nas w oczy, które mrużymy, w efekcie czego w ich kącikach powstają tzw. kurze łapki. Kurze łapki są obrzydliwe, nie ma dwóch zdań. Można się przed nimi zabezpieczyć nosząc okulary przeciwsłoneczne (wyłącznie ze szkła i to nie porysowanego), ale to będzie ochrona tylko oczu, a nie całej twarzy. Niezależnie więc od ciemnych okularów dobrze jest mieć na sobie jakieś... rondko, które rzuca na twarz trochę cienia.

Najczęściej jest to rondko od kapelusza. Kapelusze, zwłaszcza słomkowe (bywają latem i kapelusze płócienne) przeżywają obecnie swój ogromny renesans. I to nie tylko na kartkach żurnali — na każdym targu można kupić przeróżnego typu (fasonu, gatunku) kapelusze plecione z wikliny, słomki itp. (np. na czerwcowym Festynie „Trybuny Ludu" w Warszawie tak było) można dostać już za 300 złotych. A jeśli komuś wydają się (te najtańsze bo droższe bywają super wymyślne) zbyt mało efektowne, może je sam przyozdobić jakimś breloczkiem, broszką, kokardką, kwiatkiem... Kapelusz słomkowy można przy tym nosić dosłownie do wszystkiego — i do szortów, i do spodni, i do sukienki, nawet takiej wizytowo-spacerowo-wytwornej też, to zresztą jest szalenie stylowe — przez cały czas póki trwa lato i świeci słońce.

Jeśli ktoś nie lubi kapelusza i za nic się nie chce do niego przekonać, może się posłużyć i innym rondkiem. Takim całkiem samodzielnym (na gumce) lub przymocowanym do bawełnianej chusteczki. Te samodzielne bywają w jarmarcznych stoiskach z zabawkami i odpustowymi pierścionkami, te tworzące całość z chustką można szybciutko wykonać własnoręcznie — kawałek giętkiego plastiku (np. z plastikowej teczki na akta) odpowiednio wycinamy, obciągamy „futeralikiem" z materiału, jego brzeg przyszywamy do reszty chustki.

Rondka (te od kapeluszy i inne) nosimy na sobie zawsze wtedy gdy świeci ostre słońce. Oczywiście na plaży też. Chronią twarz przed słońcem — i to jest najważniejsze, ale poza tym — taka jest teraz moda.

RIUSZKA

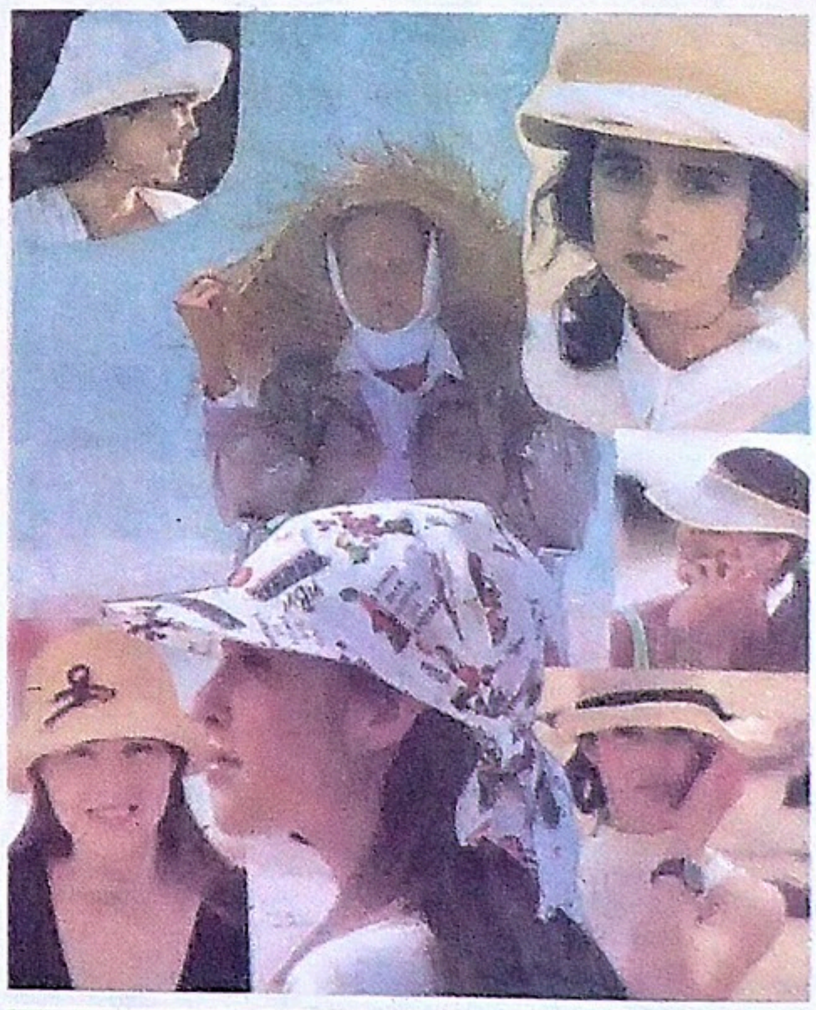

dawno... niedawno...

UKŁAD SIKORSKI — MAJSKI

Kiedy w czerwcu 1941 roku wybuchła wojna radziecko-niemiecka i ZSRR przystąpił do koalicji antyhitlerowskiej — trzeba było na nowo określić stosunki polsko-radzieckie. Jak wiadomo po 17 września 1939 roku, gdy Armia Czerwona wkroczyła na wschodnie tereny przedwojennej Rzeczypospolitej, stosunki dyplomatyczne zostały zerwane. Na terenie ZSRR znalazły się wówczas setki tysięcy Polaków, z których część została pozbawiona wolności, osadzona w więzieniach i obozach.

Na początku lipca 1941 roku strona radziecka — początkowo za pośrednictwem rządu brytyjskiego, a potem w bezpośrednich rozmowach z polskim rządem na emigracji — wyraziła pragnienie

CIĄG DALSZY NA STR. 7

dawno... niedawno...

UKŁAD SIKORSKI — MAJSKI

CIĄG DALSZY ZE STR. 6

przywrócenia wzajemnych stosunków i zawarcia z Polską sojuszu. Ambasador ZSRR w Londynie, Iwan Majski, dał do zrozumienia, że jego rząd jest zainteresowany w odbudowie niepodległego, demokratycznego państwa polskiego w granicach etnograficznych. Ponadto jest gotów ułatwić powstanie w Moskwie „Komitetu Narodowego", którego celem byłoby zorganizowanie wojska polskiego dla wspólnej walki z Niemcami oraz zamierza traktować Polskę jako sojuszniczkę. Premier rządu polskiego gen. Władysław Sikorski uzależnił wówczas zawarcie ewentualnego sojuszu od następujących warunków: uznania za nieważny układ radziecko-niemiecki z 1939 r. (tzw. pakt Ribbentrop–Mołotow) w sprawie zmian terytorialnych w Polsce, ponownego otwarcia polskiej ambasady w Moskwie, uwolnienia z więzień i obozów wszystkich Polaków oraz utworzenia Armii Polskiej w ZSRR, pozostającej w dyspozycji rządu polskiego. Przez cały miesiąc trwały dyplomatyczne rozmowy. W końcu — dzięki pośrednictwu rządu brytyjskiego — wypracowano formułę kompromisową i 30 lipca 1941 r. doszło do podpisania układu polsko-radzieckiego zwanego potocznie umową Sikorski-Majski. Układ głosił, iż „rząd ZSRR uznaje, że traktaty radziecko-niemieckie z 1939 r. dotyczące zmian terytorialnych w Polsce utraciły swą moc", a „rząd Rzeczypospolitej Polskiej nie jest związany żadnym porozumieniem skierowanym przeciw ZSRR". Zapowiedziano przywrócenie wzajemnych stosunków dyplomatycznych i udzielanie sobie nawzajem wszelkiej pomocy w walce z Niemcami. Strona radziecka zgodziła się na utworzenie w ZSRR Armii Polskiej pod dowództwem mianowanym przez władze polskie w porozumieniu z rządem radzieckim (dowódcą tej armii został gen. Władysław Anders). Ponadto rząd radziecki zapowiedział, że „z chwilą przywrócenia stosunków dyplomatycznych udzieli amnestii wszystkim obywatelom polskim, którzy obecnie pozbawieni są wolności na terytorium ZSRR". Układ pomijał milczeniem kwestię granic pomiędzy obomą państwami, rozwiązanie jej odkładając na później.

Mimo kompromisowego charakteru układ Sikorski–Majski miał dla Polski duże znaczenie: umacniał jej pozycję w obozie alianckim, dawał szansę utworzenia silnej armii polskiej na najważniejszym odcinku wojny z Hitlerem, umożliwiał odzyskanie wolności przez rzesze przebywających w ZSRR Polaków. Mógł więc stać się podstawą do nawiązania dobrosąsiedzkiej współpracy pomiędzy naszymi państwami. Tak się jednak nie stało. Nierozwiązanie kwestii granicznej ciążyło od początku na polsko-radzieckich stosunkach i stało się powodem wielu uraz i konfliktów. Dopiero objęcie władzy w Polsce przez lewicę społeczną przyniosło zasadniczą zmianę tego stanu rzeczy.

SZPERACZ

Dwie sondy Fobos I i Fobos II lecą w kierunku Marsa

7 lipca br. wystartowała z Bajkonuru automatyczna sonda międzyplanetarna Fobos I, a w pięć dni później następna, bliźniacza — Fobos II. Jak już informowaliśmy wcześniej celem ich misji jest przede wszystkim zbadanie jednego z księżyców Marsa — Fobosa (stąd nazwa sond), ale również planety Mars i przestrzeni kosmicznej. Na pokładzie sond znajduje się polski analizator fal plazmowych, którego twórcami są uczeni z Centrum Badań Kosmicznych PAN i Instytutu Lotnictwa. Dr Stanisław Klimow — radziecki specjalista — powiedział, że „nikt na świecie nie potrafi w tej chwili zrobić analizatora fal plazmowych tak niskiej częstotliwości, jak Polacy".

W programie „Fobos" biorą również udział takie państwa jak: NRD, Bułgaria, Czechosłowacja, Austria, Finlandia, RFN, Szwecja, Szwajcaria, Węgry a także Europejska Agencja Kosmiczna zrzeszająca państwa zachodnie. Największy jednak wkład w realizację programu „Fobos" ma Związek Radziecki. Pod kierunkiem uczonych ZSRR powstawały urządzenia i wyposażenie sond, nie mówiąc już o tym, że sondy wyniosła radziecka rakieta typu „Proton".

O misji „Fobos" będziemy pisać jeszcze nieraz. Na razie sondy lecą do Marsa, a droga ta trwać będzie ok. 200 dni.

PREZES

KTO CHCE POPATRZEĆ W LETNIE NIEBO'88?

Letnie noce nie są tak ciemne jak zimą. Mimo to wiele ciekawych obiektów znajduje się na letnim niebie.

Zacznijmy od **KSIĘŻYCA.** Najlepiej powierzchnia naszego naturalnego satelity widoczna jest przed pierwszą kwadrą i po ostatniej. Jak wiadomo Księżyc dość mocno rozjaśnia niebo (oczywiście w okolicy pełni) i wtedy obiekty mgławicowe tj. gromady, mgławice i galaktyki są trudne do zaobserwowania. Ciemne bezksiężycowe noce będziemy mieli w okolicy 15 każdego miesiąca letniego 1988 r., gdyż nowie mają miejsca 3 VII, 12 VIII i 11 IX.

Przejdźmy do planet. **MERKURY** jest planetą wewnętrzną i przebywa na niebie zawsze w pobliżu Słońca. Najdogodniejsze okresy do jego obserwacji przypadają podczas największych kątowych oddaleń od Słońca (elongacji). W lato warunki te są szczególnie niekorzystne z powodu ułożenia ekliptyki do horyzontu. Jednak można spróbować zaobserwować Merkurego w okolicach daty 15 IX wieczorem. Należy go szukać tuż po zachodzie Słońca lub tuż przed wschodem. Dobrze jest, gdy ktoś dysponuje lornetką lub lunetą, wtedy ma większą możliwość odnalezienia tej planety.

WENUS największą odległość kątową od Słońca osiągnie na przełomie sierpnia i września a dokładniej 22 VIII 88 r. Jej jasność wyniesie — 4 mag. Świecić wówczas będzie pięknym blaskiem kilka godzin przed wschodem Słońca. Dodam, że 7.10.88 rano nastąpi zakrycie i odkrycie Wenus przez Księżyc.

MARS na letnim niebie widoczny jest niemal całą noc z wyjątkiem czerwca i lipca. Jego jasność podczas opozycji 28 IX wyniesie — 2,5 mag. Dodam, że właśnie w tym roku nastąpi tzw. Wielka Opozycja Marsa. Jest to wielkie zbliżenie Ziemi i Marsa. Podczas tej opozycji Mars zbliży się do Ziemi na odległość ok. 58,8 mln km.

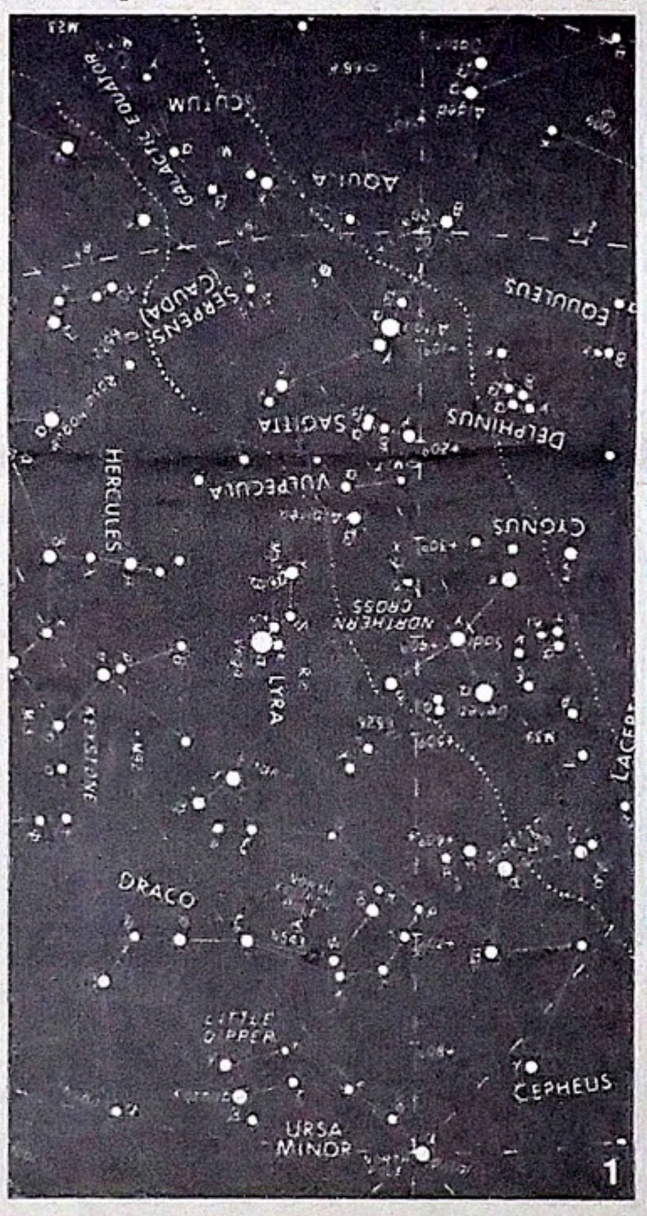

JOWISZ widoczny jest od lipca na niebie porannym i wschodzi coraz częściej. Przesuwa się on przez gwiazdozbiór Byka a następnie przez gwiazdozbiór Bliźniąt. Opozycja Jowisza nastąpi 23 listopada a jego jasność w tym okresie wyniesie — 2,3 mag. Przez lunety możemy oglądać zjawiska wśród czterech największych księżyców Jowisza: Kallisto, Ganimedes, Io, Europa.

SATURN widoczny jest przez całą noc, a dopiero we wrześniu zacznie zachodzić coraz wcześniej i w październiku zniknie w promieniach zachodzącego Słońca. Przez lunety można dostrzec wokół Saturna pierścienie, które są skupiskiem pyłu, mniejszych i większych odłamków skalnych.

Dalsze planety widoczne są tylko przez lunety i bardzo trudno odnaleźć je na niebie.

METEORYTY. W sierpniowe noce na niebie pojawiają się świetlne smugi, które po chwili znikają. Są to ślady (tory) meteorów. W tym właśnie czasie promieniują (spadają) meteory z roju Perseid (nazwa pochodzi od nazwy gwiazdozbioru, z którego zdają się wybiegać). Punkt, z którego wybiegają nazywamy radiantem. Największą liczbę meteorów, bo aż 40–50 na godzinę, można zaobserwować między 10 a 13 sierpnia.

SZTUCZNE SATELITY, to ciała zbudowane przez ludzi na Ziemi i wysłane w kosmos. Większość z nich obiega Ziemię w czasie krótszym od doby. Widoczne są w postaci punktów, które poruszają się dość szybko wśród gwiazd. Nie świecą one światłem własnym lecz odbitym światłem słonecznym. Z tego też powodu mogą być widoczne wtedy, gdy Słońce znajduje się płytko pod horyzontem. W letnie noce są dogodne warunki do ich obserwacji, gdyż Słońce znajduje się zaledwie kilkanaście stopni pod horyzontem.

Przejdźmy teraz do **SFERY GWIAZD STAŁYCH** (tak Kopernik nazywał sferę obiektów, które nie zmieniają swego położenia na niebie — gwiazd). Najbardziej charakterystycznymi gwiazdozbiorami letniego nieba są: **LUTNIA, ŁABĘDŹ I ORZEŁ.** Najjaśniejsze gwiazdy tych gwiazdozbiorów **WEGA, DENEB I ALTAIR** tworzą tzw. Trójkąt Letni (patrz mapka).

Godnymi uwagi jest gwiazdozbiór **ANDROMEDY,** w którym znajduje się najdalszy obiekt widoczny nieuzbrojonym okiem znany pod nazwą Wielka Mgławica (Galaktyka) Andromedy (M31). Ciekawymi gwiazdozbiorami są również **STRZELEC, TARCZA (SOBIESKIEGO), WĘŻOWNIK** oraz **SKORPION.** Na obszarze tych gwiazdozbiorów znajduje się mnóstwo jaśniejszych i słabszych obiektów mgławicowych (gromad kulistych, gromad otwartych i mgławic). Do najciekawszych obiektów tego typu należą: M 11, M 16, M 24, M 22, M 6, M 10, M 14, M 12, M 7, M 8, M 19, M 21, M 23, M 25, M 55. Przy użyciu zwykłej lornetki wszystkie te obiekty są doskonale widoczne. Dodam tylko, że leżą one nisko nad południowym horyzontem, z tego też powodu lepsze warunki obserwacyjne będą mieli obserwatorzy południowej Polski.

Robert Szaj

1. Fragment centralnej części nieba letniego z charakterystycznymi gwiazdozbiorami (od góry, czyli w części północnej): Małą Niedźwiedzicą, Cefeuszem, Smokiem (Draco) i dalej w części centralnej; Lutnią (Lyra), Łabędziem (Cygnus) Orłem (Aquila). W prawym dolnym rogu zaczynają się mgławice, o których wspomina Robert. Mgławica M 31 w Andromedzie znajduje się na lewo od Cefeusza (na tej mapie niewidoczna)
2. Jeden z najpiękniejszych fragmentów nieba — słynna głowa konia w gwiazdozbiorze Oriona. W lewym dolnym rogu mgławica NGC 2023

Kiedy pan kierownik mówił o lesie i jego mieszkańcach, głos jego, zazwyczaj kategoryczny, łagodniał. Pan kierownik kiedyś bardzo chciał być leśnikiem. Było to jeszcze w dalekich przedwojennych czasach, w których również zdarzały się afery polityczne. Pan kierownik wdał się w jedną z nich i wyrzucili go z uniwersytetu. A po wojnie, niestety, wziął co było najłatwiejszego do wzięcia, czyli nauczanie.

Pan kierownik kiedyś wyznał im, że na początku tego nauczania cudzych i nie najlepszych dzieci był po prostu nieszczęśliwy. Lecz niedługo zrozumiał, że szkoła to swego rodzaju rezerwat pełen ciekawych zwierzątek, którym trzeba pomagać. Tak więc polubił szkołę, co najbardziej zdziwiło właśnie jego samego. W tym miejscu pan kierownik wzdychał głęboko i zapadał w krótkie zamyślenie, a oni czekali cierpliwie, aż wyjdzie ze swoich wspomnień i przystąpi do lekcji.

Trzecim punktem programu było: czego nie wolno robić w lesie. Pan kierownik ustawił się między rzędami i celując palcem w uczniów, pytał:

— Krajanie drzew jest dozwolone?

— Nie — zapewniali gorliwie.

— Obrzynanie kory?

— Nie, proszę pana.

— Dlaczego?

— Bo to jest warstwa ochronna drzewa — wyrecytowali.

Pan kierownik potaknął z zadowoleniem. Nim zadał następne pytanie, Biały wykrzyknął:

— A ja będę krajał!

Pan kierownik spojrzał na niego przez ramię. Nie ukarał Białego. Nie wyrzucił nawet za drzwi. Wszystkich od dawna intrygowało, dlaczego. Pan kierownik nic sobie nie robił z żadnych wielkich figur, nawet z tych z Powiatu. Nie było człowieka, z którym by nie powojował, gdy uznał to za konieczne. Niektórzy nawet mówili, że nie oddał strzelby, z którą tutaj przed laty przyjechał. Na pewno jej nie oddał i zawsze był gotów na wszystko. Ale nie w stosunku do Białego.

— Będę łamał gałęzie! — wrzasnął Biały.

Pan kierownik po prostu przeszedł do następnego punktu. Biały stał w ławce, jeszcze bielszy niż zwykle. Milczenie trwało. A kiedy pan kierownik wypisywał na tablicy temat „Ochrona przyrody", Biały, pełen determinacji, podszedł do katedry, strącił pudło kredy i rozdeptał ją na miazgę.

Pan kierownik obrócił się. Patrzył pełen osłupienia. Biały podszedł do pierwszej ławki, ruchem ręki odgarnął Romana i ułożył się na niej wypinając tyłek.

Klasa czekała z zapartym tchem.

Pan kierownik patrzył na chudy tyłek Białego i patrzył. Nagle doskoczył, złapał za pasek u spodni i podniósł jak psiaka w górę.

— Co jest? — wrzasnął.

Wtedy Biały rozpłakał się i uciekł z klasy.

Pan kierownik stał z kredą przy tablicy, patrzył na temat lekcji, jakby go nagle przestał rozumieć.

Wtedy Janek uniósł dłoń i poprosił o głos. Pan kierownik przyzwolił.

— Nie ma pan prawa tak z nim postępować — rzekł poważnie Janek. — Klasa się ze mną zgadza.

Klasa zaszemrała.

Pan kierownik milczał. Zrobił zachęcający ruch, proszę, mów dalej, a jego oczy wpatrywały się w Janka uważnie.

— W końcu to też jest człowiek, nie można go szykanować...

— Tak na to patrzysz?... rzekł pan kierownik.

— Klasa też — odrzekł Janek. — Co panu szkodzi dać mu w tyłek jak innym?...

Klasa zaszemrała aprobująco.

— Czy to jego wina — krzyknął z ostatniej ławki najstarszy Golanko — że ma takiego ojca?

— Jakiego? — podchwycił pan kierownik.

Golanko schował się szybko za plecami kolegi. Ale jego małe oczy wyrażały upór. Najstarszy Golanko miał zawsze swoje zdanie o wszystkim i mówił, że ono jest praworządne. I że tego nauczył go urząd.

Cdn.

22

Jeżdżą ozłocą

Tekst i rysunki J. CHRISTA

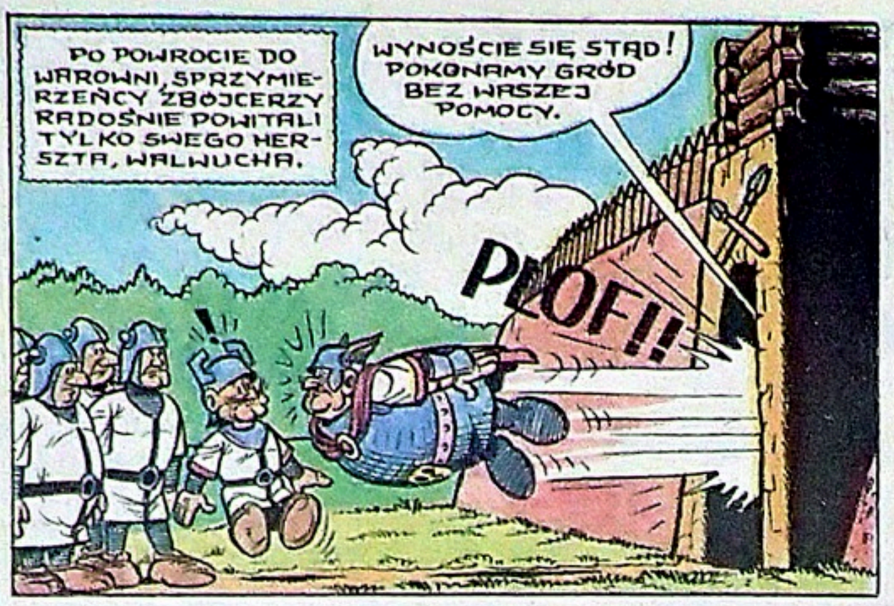

ŚWIAT MŁODYCH

UKAZUJE SIĘ OD 1949 r.
Nr 88 (4483)
Wychodzi:
wtorki, czwartki i soboty
Nr indeksu 35046
PL ISSN 0137-93214

ADRES REDAKCJI: ul. Mokotowska 24, 00-561 Warszawa. TELEX 813658.
ADRES ODDZIAŁU: ul. Rynek 13, 40-003 Katowice (tel. 53-94-57, TELEX 0315589).
REDAGUJE KOLEGIUM. **Redaktor naczelny** Stanisław Borowiecki tel. 21-15-61, z-cy red. nacz. Ewa Drobnik i Wanda Kobyłecka tel. 29-21-42, **Sekretarz redakcji** Wojciech Wróblewski, z-cy sekr. red. Grażyna Szroeder-Bukowska i Lidia Wojciewska tel. 28-25-48, **Kierownicy działów**: Jerzy Dąbrowski (dz. nauki i techniki tel. 28-77-21), Maria Jaworska (dz. szkolno-harcerski tel. 21-47-06), Teresa Maciszewska (dz. kulturalno-literacki tel. 28-77-21), Jan Orgelbrand (dz. krajowy tel. 28-56-16), Zdzisław Przybyłowski (dz. sportowy tel. 21-98-28), Barbara Skórska (dz. listów i łączności z czytelnikami tel. 21-81-13). **Fotoreporterzy** tel. 21-98-26.
Nie zamówionych materiałów redakcja nie zwraca. Ogłoszenia przyjmuje Redakcja Wydawnictw Poradniczych i Reklamy, al. Stanów Zjednoczonych 53, 04-028 Warszawa, tel. 13-20-40 do 49 wewn. 403. Cena ogłoszeń: 450 zł za 1 cm², 200 zł za jedno słowo w ogłoszeniach drobnych. Wpłaty za ogłoszenia od osób fizycznych przyjmowane są na konto: NBP XV OM Warszawa nr 1153-201478-138-11. Za treść ogłoszeń redakcja nie odpowiada.
WYDAWCA: RSW „Prasa-Książka-Ruch", Młodzieżowa Agencja Wydawnicza, 04-028 Warszawa, al. Stanów Zjednoczonych 53. Telefony: Dyrektor 10-41-22, Dział Produkcji Prasowej 10-66-21. Informacji o warunkach i terminach prenumeraty udzielają wszystkie oddziały RSW „Prasa-Książka-Ruch" oraz urzędy pocztowe.
Opracowanie graficzne: Marlena Hanke
Opracowanie techniczne: Barbara Zając
Korekta: Barbara Boguszewska
ZSP Zakłady Graficzne „Dom Słowa Polskiego"
Zam. 2773/G/88. U-5.
Nakład 439 000 egz.

UŚMIECH NUMERU

MĄDRALA do Iksińskiego:

— Nie masz przypadkiem adresu tego Filipa ze Słupska, którego poznaliśmy na kolonii?

— Nie mam, ale najlepiej napisz do niego, to ci przyśle...

★

PEWIEN WÓDZ afrykańskiego plemienia posłał drugiemu w podarunku piękną papugę. Obdarowany oddał ją kucharzowi i kazał przyrządzić na obiad. Po kilku dniach ofiarodawca dowiedział się o tym i telefonuje z wyrzutem:

— To była bardzo wartościowa papuga: potrafiła znakomicie gadać..!

— To dlaczego nic mi o tym nie powiedziała?!

Mama, ku swemu osłupieniu, dostrzegła na twarzy syna wyraz takiego przejęcia, że w ogóle zapomniała o Mietku, który starał się coś wtrącić. Zresztą zaraz zamilkł. Teraz wszyscy patrzyli, jak Łukasz próbuje ośmielić psa. Jak usiłuje pokonać strach zaszczutego zwierzęcia. Czekali.

Łukasz znowu zrobił krok do przodu, a pies do tyłu. Już cały był w ogrodzie, poza gankiem. Wtedy w ręku Łukasza pojawiła się pajda chleba z masłem, zawsze w którejś kieszeni przechowywana, na wypadek wielkiego głodu. Pies zamarł. Po czym, z oczyma wbitymi w chleb, zbliżył się powoli do Łukasza. Wyjął delikatnie kromkę z rąk i połknął.

Łukasz objął go. Przybłęda zezwolił na to. Jego oczy łypały krzywo wkoło, lecz stał i pozwolił się głaskać. I słuchał, jak nazywają go Azą, chociaż był psem, co nawet dla największej gapy było widoczne. Dla Łukasza jednakże taka bagatelna rzecz jak płeć zwierzęcia wcale nie miała znaczenia. Wpatrywał się swymi okrągłymi oczyma w psa, a pies wpatrywał się w niego.

Mama zrozumiała, że kłamka zapadła. Popatrzyła na otaczających ją synów, wpatrzonych w jej twarz, czekających na ostatnie słowo. Poczuła się w dość ryzykownej roli osoby, która wprawdzie wszystko może, ale której potem nic nie zostanie podarowane. Sama sobie pewnie też nie podaruje, jeżeli to przypłaszczone zwierzę, z przestraszonymi oczyma, z żebrami przebijającymi skórę, zostanie przegnane za furtkę.

— Boże! — powiedziała gderliwie, czując jednakże, że wcale jej ta gderliwość nie wychodzi. — Czy nie ma w tym Miasteczku innych domów, tylko nasz? Tylko jeden?! Psy, koty, króliki, żaby, jaszczurki, robaki jakieś... czy to nie za wiele na zdrowie jednej biednej matki? — coś wesołego zjawiło się w jej głosie. Cała czereda już dawno zrozumiała, iż nikt z tego domu nie odejdzie głodny, a co dopiero na poniewierkę.

Pies także to zrozumiał. Poruszył lekko ogonem. Mama zamilkła. Lecz nie pies był tego powodem. Mama patrzyła na swego Łukasza, nie mogąc go poznać, Łukasz bowiem wcale nie słuchał ani słów matki, ani terkotania Mietka. W tej chwili istniał dla niego tylko pies. Łukasz głaskał go i głaskał, aż nagle siadł po prostu na ziemi i bardzo ostrożnie i w wielkim skupieniu zabrał się do wyjmowania rzepów z sierści przybłędy. A rudzielec, z mądrością zwierząt walczących o życie, przysunął się ciasno do Łukasza i nie warczał, gdy coś sprawiało mu ból. Mama patrząc na to zrozumiała, że jej drugi syn miał wyjątkowo rację.

W środę miała się nareszcie odbyć wycieczka do lasu. Pan kierownik poświęcił całą lekcję na wyjaśnienie, jak należy się do niej przygotować. Po pierwsze, co należy zabrać. Mówiąc to, popatrzył na dziewczynki. W zeszłym roku bowiem pozabierały ze sobą stosy rupieci. A na pierwszym biwaku, gdy nareszcie mieli się zabrać do kanapek, okazało się, iż zamiast chleba niosą w plecakach talizmany, a jedna miała nawet krem i wodę kolońską na wypadek, gdyby się spociła. No i spociła się, bo pan kierownik nagadał jej od smarkatych siks i zagroził, że na drugi raz wsadzi ją pod pompę i potrzyma tak długo, aż wszystkie pachnidła z niej zejdą.

Po drugie, pan kierownik wyjaśniał, jak należy się zachować w lesie. Las jest domem zwierząt, nie wszystkie z nich już wiedzą, że człowiek jest stworzeniem, którego najlepiej unikać. Największe nawet zwierzę lubi ciszę, gdyż ona jest warunkiem przetrwania. W ciszy bowiem słyszy się, jak ni przyjaciel skrada się do gniazda, wie się, co wygwizduje ksa na najwyższym drzewie, przed czym przestrzega sroka i dlaczego dzięcioł stał się raptem zaniepokojony — a człowiek, to najwrzaskliwsze zwierzę, zagłusza ciszę.

Dokończenie na str. 7